



Andrzej Niemojewski

FAMILIA

Dramat w 5 aktach

<http://rcin.org.pl>

Kochanowi Gabrielowi Korbutowi
na pamiątkę

Auta

Warszawa 18/VIII 1907 r.

FAMILIA

1 (ANDRZEJ NIEMOJEWSKI) 2

FAMILIA) 3

DRAMAT W 5 AKTACH

Uwieńczony nagrodą na konkursie jubileuszowym Kuryera Warszawskiego w roku 1898

Godło: »Każda chmura
ma swój wiatr.«

Prawo autora wobec scen, przedruków i tłumaczeń zastrzeżone.

KRAKÓW
DRUKARNIA NARODOWA
1901.

1022



<http://rcin.org.pl>

OSOBY.

SKIBA, chłop siedmdziesięcioletni, wdowiec.

MIKOŁAJ, jego syn.

MIKOŁAJOWA.

WALEK, syn Mikołajów, wyrostek.

ZOSIA, córka Mikołajów, lat 14.

JAN GRZEBIEŃ, zięć Skiby.

KATARZYNA GRZEBIENIOWA.

GRZEGORZYK, syn Grzebieniów, lat 10.

KUBA, brat Skiby.

FILIPINA, jego żona.

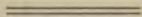
KUBRAK, parobek.

WÓJT.

ARENДАРZ.

Chłopi, baby, parobcy, dziewczyny, dzieci.

Rzecz współczesna, rozgrywa się na wsi.



AKT I.

(Karczma, ławy i stół, po lewej szynkwas, za nim drzwi a po obu stronach okna otwarte z widokiem na drogę i pola. Słychać brzęk kos, niekiedy śpiewy. Padają blaski słońca chylącego się już na zachód. — Arendarz nuci stojąc za szynkwasem i notując kredą. Wchodzi Skiba.)

SKIBA.

Pochwalony.

ARENДАРZ.

Pan Bóg.

SKIBA.

Gorzałki. (Arendarz się nie rusza.) Gorzałki!—
Cóżes żydzie, ogłuchł?!

ARENДАРZ.

Zaraz, zaraz. Naco taki krzyk? (Nalewa.)

SKIBA.

Coby ci dwa razy nie trzeba było gadać. (Siada.)

ARENДАРZ.

Arendarzowi nigdy nie trzeba dwa razy gadać,
jak mu się raz płaci. (Stawia przed Skibą półkwaterek.)

SKIBA.

Co? (Wstaje.) Co? Może ci Skiba już płacić nie może? Co? Co?

ARENДАРZ.

Jakto: nie może płacić?! Kto mówi, że nie może płacić?! Stary Skiba i nie może płacić?! Co to za gadanie!

SKIBA.

Ano. (Siada.)

ARENДАРZ.

Strasznieście, mój Skiba, dumni. Ajejejeje! Wybyście powinni być ślacheicem a ślacheic gospodarzem. Jabym na tem lepiej wyszedł.

SKIBA.

Ano. (Pije.)

ARENДАРZ.

A i wam, Skiba, byłoby z tem lepiej. Bo jak prosty chłop ma w sobie taką hardość, to naprzeciw niego nie śmie iść żaden przyjaciel, a za nim idą wszyscy nieprzyjaciele gęsiego długim sznurem. Co on się sztarbnie, to mu coś z kieszeni wyleci, a oni chap! Chłopa na to nie stać długo.

SKIBA.

Ano.

ARENДАРZ.

Ano. (Pauza.)

SKIBA.

Gorzałki!

ARENДАРZ.

Jak??

SKIBA.

Cóż ślepie wytrzeszczasz? Ruszaj do pioruna siarczystego! (Arendarz biegnie i przynosi.) Już się dziwujesz, żydzie, że ludzie piją gorzałkę?

ARENДАРZ.

Ja się dziwuję, że stary Skiba pije gorzałkę, nie że ludzie piją gorzałkę!

SKIBA.

Ano.

ARENДАРZ.

Pewnie Skiba znowu pokłócił się z córką i zięciem? (Pauza.) Pewnie Skiba ma dużo zmartwienia? (Pauza.) Skiba?

SKIBA.

Co?

ARENДАРZ.

Na świecie jest dużo zmartwienia.

SKIBA.

Ano.

ARENДАРZ.

Jak tylko Skiba wszedł, oho, zaram sobie pomyślał: źle! — I zaram sobie powiedział: stary Skiba dobry, jeno ma dużo zmartwienia.

SKIBA.

Dajcie no, arendarzu, gorzałki.

ARENДАРZ.

I teżem sobie powiedział: Skiba będzie dzisiaj na zgryz piuł. (Idzie po gorzałkę.) Tak, tak! Jak

Pan Bóg da dobre dzieci, aj, aj, to wtedy niema jak mieć dzieci! Ale jak Pan Bóg da przypadkiem złe dzieci, to ino Pana Boga prosić o prędką śmierć. (Stawia wódkę.) Skiba? — Skiba? — Wie Skiba co? — (Trąca go.) Niech Skiba tak nie myśli. To nie dobrze. U nas stoi napisane, co jak człowiek zagniewany myśli, to nieszczęście siada na progu jego domu.

SKIBA.

Nie trafiłoby do mojego domu.

ARENДАРZ.

Aj, aj, aj, aj, jaki Skiba jest! Skibie usiadła bo-
lączka na języku i za Skibę gada. To tak całkiem
źle, to nawet paskudnie.

SKIBA.

Ano bo tak. Nie trafiłoby do mojego domu. Nie
wiedziałyby, czy iść tu naprzeciwko obok wójta, czy
do kłitki pod las.

ARENДАРZ.

Onoby wstało z progu, gdzie teraz Skiba mieszka
i poszłoby do zagrody tu obok, gdzie siedzi Kaśka
z tym głupim Jaśkiem. Onoby wiedziało jak iść!

SKIBA.

Tfu... Wiedziałyby... A możeby i wiedziało... Kto
je tam wie!... Tfu, do dyabła!... Dobre dzieci... Żeby
tam pierwszy jasny piorun trzasł!... Wiedziałyby...
Żeby wiedziało, toby może i poszło... Dobre dzieci...
Abo to się teraz rodzi co porządnego?... Tfu!

ARENДАРZ.

No, no, no, no. Nienajlepsze, poco mają być naj-
lepsze? Kto ma najlepsze? Nikt nie ma najlepsze.

Ale tak średnio dobre, a to jeszcze nie całkiem złe, żeby zaraz pierwszy jasny piorun... jeszcze kiedy taki skwarny dzień! To są pracowite dzieci, pierwsi z całej wsi tną żyto. Aż przyjemnie słuchać, jak za oknem kosy dzwonią.

SKIBA.

Tfu...

ARENDARZ.

Skiba tfu... a Skiba sobie sam winien.

SKIBA.

Com winien?

ARENDARZ.

Że teraz Skiba ma dużo zmartwienia.

SKIBA.

Wiesz ty, żydzie, gdzie mądrość posiali! Idź lepiej modlić się do księżycy!... Eh, ty, ty, ty!... Sam sobie winien!... Jak coś weźmiesz na swój starozakonny rozum, to aż bebechy bolą... Tfu, do licha!... Bodajęś z tem gadaniem: sam sobie winien!

ARENDARZ.

Bo sam sobie winien. Kiedy przed pięciu laty nieboszczka umarła, Skibie markotno było a ja gadam: to nie! Skiba mnie nie słuchał i jest.

SKIBA.

Co jest?

ARENDARZ.

Paskudztwo jest! Poco Skiba zięciowi i córce puszczał w dzierzawę grunt i chałupę? Poco Skiba oddał im szkapy? Poco Skiba brał od nich dwa ty-

siące na kaucyje? POCO Skiba pożyczyl te pieniądze bratu na postawienie chałupy? POCO Skiba darował zięciowi i córce wszystkie raty, jak do nóg padli? Najpierw płacić, potem do nóg padać!

SKIBA.

Bom chciał... Bom chciał... A tobie co?!... Nieboszczkę Pan Bóg zabrał, co ja będę robił z tak dużym gospodarstwem! Puszcę w dzierżawę zięciowi i tylo. Pierwszy rok nie płacił, bo było mokro... moja wina, że było mokro... Drugi rok nie płacił, bo padła zaraza na ziemniaki... moja wina... Trzeci rok nie zapłacił nic, bo padła im szkapa... Co to ja poganin, żeby nie miał zmiłowania dla własnych dzieci, abo się z nimi po sądach włóczył?!... Tfu, głupi jesteś... Moja wina!... Czwarty rok nic, piąty rok nic... Rozwiązać kontrakt... Ano rozwiązać! Nie płaciecie, fora ze dwora!

ARENДАРZ.

A skąd teraz oddać te dwa tysiące? Kuba nie ma z czego zwrócić, a zięć i córka chcą swoje dwa tysiące i koniec!

SKIBA.

Jakie dwa tysiące?

ARENДАРZ.

Kaucyi.

SKIBA.

Przecież mi nie przez wszystkie lata nie płacili!

ARENДАРZ.

Ale im Skiba to darował!

SKIBA.

Ano.

ARENDARZ.

To teraz trzeba oddać dwa tysiące, to oni ustąpią z gruntu i chałupy.

SKIBA.

Jakie dwa tysiące?

ARENDARZ.

Co oni Skibie nie darowali.

SKIBA.

Kiedy mi nie przez wszystkie lata nie płacili!

ARENDARZ.

Ale im Skiba to darował!

SKIBA.

Nie wolno mi? Co?

ARENDARZ.

Skibie wolno wszystko! Skibie wolno nawet ostatnią koszulę zdjąć z siebie i oddać temu głupiemu Jaśkowi, żeby miał!

SKIBA.

Ano.

ARENDARZ.

Tylko trza oddać teraz dwa tysiące, co to poszło na chałupę dla Kuby.

SKIBA.

Też ty, żydzie, nie zrozumieć nie możesz!

ARENDARZ.

Oni mają za sobą prawo!

SKIBA.

A ja sumienie! (Uderza się w pierś.) Czy rozumiesz? Sumienie! Mówię: sumienie — do kroćset tysięcy dyabłów rogatych!

ARENДАРZ.

Jak Skiba ma sumienie za sobą, to Skiba ma dosyć!

SKIBA.

Ma się wiedzieć, parchu, że dosyć!... Tfu, jak to oni wykręcają podszewką na wierzech!... Kitas majdas i już ma prawo za sobą!... Nie płacił, bo szła flaga przez calusieńką wiosnę. Ni orać, ni siać, ni nic. Z czegoż będą płacili? Na drugi rok padła zaraza na ziemniaki. Kaska mnie za nogi objęła... Tfu, abo mi to nie córka?!

GŁOS WÓJTA.

Arendarzu, arendarzu!

ARENДАРZ.

Idę, panie wójcie, idę! (Biegnie do drzwi i kłania się wielokrotnie z progu.)

SKIBA.

Może nie padła zaraza?... Samem z niemi chodził.. przecie wiem, co to zaraza... Żeby cię zaraza! (Marmocze dalej.)

ARENДАРZ (w drzwiach).

Weksel dla pana wójta? — Na jaką sumę? — Dobrze, mam na taką sumę. — Może pan wójt wstąpi na chwilkę? — Zaraz poszukam na taką sumę... Mam dobre nalewke, może pan wójt pokosztuje? — Musi być na taką sumę. (Idzie do szynkwasu i szuka

w szufladzie. Wchodzi wójt. Jest to surdutowiec trochę otyły, łysawy, wzrok pełen sprytu, choć nieco lisi.)

WÓJT.

Pokój temu domowi. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

ARENДАРZ.

Niech będzie pochwalony Pan Bóg. Zaraz musi być na taką sumę. Doskonałe nalewke. Rok stoi. Najpierw panu wójtowi naleję, dobrze? (Dobrywa gąsior.)

WÓJT.

Co tam wasze nalewki! U mnie arendarz skosztuje, to dopiero miu-miu proszę się kłaniać i dać buzi! Takiej nalewki świat nie widział! — To Skiba pod ścianą siedzi? Jak się macie, Skiba.

SKIBA (mrukliwie).

Ta z pomocą boską...

WÓJT.

Ej, już Skiba coś do karczmy zagląda! Na stare latka, na stare latka!

ARENДАРZ (patrzac pod światło).

Złoto nie nalewka! (Podaje wójtowi.)

WÓJT (także patrzac pod światło).

Niby kolor ma. (Przykłada do ust.) Niech będzie pochwalony. (Pije haustem.) Dobra... weale dobra... Eh, niech arendarza!... Bardzo dobra! Nie zetgał arendarz! Superbe, jak mówi pan sędzia. Moja też taka będzie. — A co to Skiba ciągle użera się z dziećmi? Fe, Skiba. Do wójta, wójt rozsądzi i basta.

SKIBA.

Wola boska.

WÓJT.

O, zaraz wola boska. A ludzka, to nie łaska? Jasiek niby trochę przygłupi, ale dobrze gospodaruje. Kaśka dyabulec, ale potrafi grosze zbierać do kupy. Błogosławił Pan Bóg takimi dziećmi!

SKIBA.

Ano.

WÓJT.

Nikomu się tak nie powodzi, jak Grzebieniowi. (Zwrócony do okna.) O, proszę patrzeć! Pierwsi tną żyto! A jakie żyto! Można się w niem schować! Kto tu ma takie żyto! A pamiętacie, jak to kiedyś padła zaraza na ziemniaki? U wszystkich padła, u nich tylko nie. Ej, Jasiek, jak Boga Kocham, to szczęśliwus!

SKIBA.

U niego też była zaraza.

WÓJT.

Śmiecie się z tego, Skiba. Jaka tam zaraza! Może na pierwszym zagonie z brzega. Zaraz to wykopali, nać na ogień, krzyżyk na resztę, a jesienią pieniążki do garnka. Chciałby wójcio mieć co roku taką zarazę! (Biorąc weksel, do arendarza.) Ile się należy?

ARENДАРZ.

Pan wójt lepiej wie, niż ja.

WÓJT.

To zapiszcie tam, panie arendarzu. Ciężkie czasy, ciężkie czasy!

ARENДАРZ (protekcyjonalnie).

Już zapisane. (Nie rusza się.)

WÓJT.

Żeby nie tacy arendarze, dawnoby człeka dyabli wzięli!

ARENДАРZ.

Pan wójt też o mnie będzie pamiętał... bo to akurat o te kontrabande...

WÓJT.

No, no, kruk krukowi oka nie wykole... Właśnie jutro jadę do miasteczka, to się tam obgada, co potrzeba. Może się arendarz zabierze?

ARENДАРZ.

Żeby nie było kramu.

WÓJT.

Pęka głowa od tych interesów... Trudna rada... Byle Pan Bóg nie opuścił! — Tak, tak, Skiba. Starzy jesteście, powinniście mieć rozum. Co to dzieci napastować! Jak źle, to do wójcia, wójcio rozsądzi po bożemu... po bożemu... Pokój temu domowi. Niech będzie pochwalony! (Wychodzi.)

ARENДАРZ.

Pan Bóg prowadzi... Padam do nóg... (Wyprowadza wójtą.)

SKIBA (sam).

Dzieci napastować! (Śmieje się.) Nie napastuj, Skiba, dzieci!... Miej rozum, Skiba, nie dręcz dzieci! (Śmieje się.) Żeby cię też, stary Skiba, jaki ty nie-ludzki człowiek!

Familia.



GRZEGORZYK (ukazując się w oknie).

Dziadek, dziadek! (Skiba milczy.) Dziadek, matka kazali powiedzieć, coby dziadek przyszli narąbać drew na wieczerzę. Jeno chutko! (Skiba milczy.) Czy dziadek nie słyszą? Drew narąbać!

SKIBA.

Ano zaraz.

GRZEGORZYK.

Matka kazali pedzić, coby dziadek nie próżnowali, jeno szli rąbać. Dziadek, bo się matka będą gniewali!

SKIBA.

Ja ci się tu pogniewam!

GRZEGORZYK.

To niech dziadek idą chutko! (Znika w oknie.)

(Wchodzą arendarz i Kubrak.)

KUBRAK (nućąc).

Gorzały, gorzałusi, bo ci w gardle jakoś dusi, daj no żydku daj, aj waj, daj no daj! (Opiera kosę o ścianę, czapkę kładzie na szynkwas.) Gorzały, gorzałusi...

ARENДАРZ.

Jeno naprzód płacić!

KUBRAK (nućąc).

Kto kocha Kasinię, ten ma nockę ładną, węzełek odwinie, węzełek odwinie, grosze kupką spadną! (Wytrząsa z kieszeni pieniądze.)

ARENДАРZ (nalewając).

Co to za Kasia? Ej, parobczaku, nie łaż do nie-swoich!

KUBRAK (nucając).

Swoja czy nieswoja, byle buzi dała i nie była skąpa i nie była skąpa... (Mówi.) Hohohohoho! Stary Skiba medytują! (Bierze półkwaterek.) Niech Pan Bóg dopomoże! (Pije.) Trrrrmm... tfu... tak. (Stawia półkwaterek, ociera usta rękawem od koszuli i mówi tonem epicznym.) Pszczoła zbierała przez całe lato miód do ula, aby było dużo. Nastala jesień. Przyszedł tedy człowiek i powiada jej: zabieraj się. Ona bzzzyk. Tedy on ul podkadziul, pszczołka bęc, a on miód zabrał jak co swojego i śmieje się. — Do was, Skiba! (Pije.)

SKIBA.

Głupiś!

KUBRAK.

Eh, tu kto inny głupi, co ja mam być głupi! Śmiech, Skiba! Pocoście się dali z ula wykurzyć? Zaśpiewam wam jeszcze... »O moja córuś idę ci, masz mnie tu żywić do śmierci. A moja córuś i poszła i kamień z beczki wyniosła. A naści ojeze utop się, kiedyś nie umiał rządzić się!«*) (Wybuchła śmiechem.)

SKIBA (zrywając się).

Ty... psie... kundlu... parobasie!... Co ty mi tu będziesz wyśpiewywał?! Ruszaj mi z drogi! Widzicie no fonfra!... Truteń, gałgan, kiep, hultaj, tfu, tfu, tfu!

* (Z pieśni ludowej).

KATARZYNA (ukazując się w oknie).

Czy to po ojca jak po księdza furmankę trzeba posyłać? Poco ojciec nie przyszli, kiedy Grzegorzyc wołał, co? Po karczmach będą się ojciec wycierali? Jeno wstyd porządny dzieciom! Jak mój z pola przyjdzie, to co mu w gębę wetknę!

KUBRAK (podchodząc do okna nuci).

Oj Kasiniu, Kasinieczko dobra buzia i łózczo, dobra nasza i pierzyna — a najlepsza Katarzyna!

KATARZYNA (szepcem).

Trzymałbyś gębę przy ludziach! (Głośno.) No, słyszeli ojciec?

SKIBA.

Toć zaraz...

(Wchodzi Jasiak Grzebień z kosą i kilku chłopów).

JASIEK.

Arendarzu, wódki dla wszystkich, co mi dobrze robili. A gdzie się podział Kubrak?

KUBRAK.

Tum ja.

JASIEK.

I jemu wódki. On najochotniejszy.

KATARZYNA.

O rety, Jasiak, już wracasz! A skaranie boskie z tym starym!

JASIEK.

Cicho, Kaśka. Co ci stary zrobił?

KATARZYNA.

Już się zaczyna po karczmach włóczyć! Drew

nie narąbał, wieczerza nie nastawiona, skaranie boskie z takim dziadem! No, czy ojciec idzie, czy ojciec nie idzie? Czy też ja mam po ojca iść?

CHŁOP 1.

To ci staremu głowę myje!

CHŁOP 2.

Ona mocna w pysku!

CHŁOP 3.

Niech się ta sądzą między sobą, co nam do tego!
Pijmy, pij Jasiak!

JASIEK.

Kiedy Kaśka coś krzyczy...

KATARZYNA.

Jak ojciec tacy, to niech ojciec oddadzą nam nasze pieniądze, nie chcemy gruntu, nie chcemy chałupy, zabierajcie sobie ojciec zdrów! A jak nie oddajecie, to służcie przynajmniej, róbcie przynajmniej, nie krzywdźcie córki rodzonej, bo Pana Boga na niebie obrażacie!

JASIEK.

E ty Kaśka, nie gadaj no wiele. Abo ty masz jaką krzywdę od starego? Nie narąbał drew, niech ta!

KUBRAK (nucąc).

Kiedy Kasia Kasia mądra, niech Jasienek będzie głupi, dadzą sobie radę radę, nikt ze skóry ich nie złupi! (Chłopi wybuchają śmiechem.)

CHŁOP 1.

Nie mieszaj się, Jasiak, niech się ta córka z ojcem rozprawia!

CHŁOP 2.

Pij do nas! Niech będzie pochwalony (Piją.)

JASIEK.

Kubrak, gałgan jesteś, ale pij!

KUBRAK.

Sto lat zdrowia i każdemu mądrej żony!

CHŁOP 1.

Tobie pierwszemu!

KUBRAK.

Bóg zapłać. Ja dam sobie i tak radę!

JASIEK.

A jak ty sobie radę dasz?

KUBRAK.

Abo to inni żon nie mają? (Chłopi wybuchają ponownie śmiechem.) Twoje zdrowie, Jasiek!

JASIEK.

Ano niech będzie. Wódki, arendarzu! (Arendarz stawia, oni piją.)

SKIBA.

Jasiek, Kaśka, słuchajcie!

KATARZYNA.

A toć słucham!

JASIEK.

Co, ojciec?

SKIBA.

Tak dalej być nie może!

KATARZYNA.

Mówiłam wam raz poraz, ojciec, że nie może być!
Bo co ma być? Zgryz ma być? Wymyślanie ma być?
Krzywda ma być? Bo już nie wiem, co ma innego
być!

SKIBA.

Oddacie mi grunt i chałupę.

KATARZYNA.

Kiedy?? Najpierw wyłóżcie na stół pieniądze!

SKIBA.

Wyście mi jeszcze winni.

JASIEK.

Toć ojciec nam wszystko dawniejsze darowali!

ARENДАРZ.

Widzicie, Skiba...

SKIBA.

Moja chałupa, mój grunt. Jak się nie chcecie wy-
nosić, to macie mi płacić.

KATARZYNA.

Co płacić? Przecie ojciec rozwiązali kontrakt!
Z czego będziemy płacić? My siedzieć nie chcemy,
my tylko mamy straty!

SKIBA.

To się wynoście!

KATARZYNA.

A nasze dwa tysiące?

SKIBA.

Nieście mi nie płacili!

JASIEK.

To nam ojciec darowali!

SKIBA.

A chcecie dwóch tysięcy?

KATARZYNA.

Bo one nie nasze??

ARENDARZ.

Widzicie, Skiba...

SKIBA.

To co ja zrobię?

KUBRAK (nucąc).

A naści ojciez utop się, kiedyś nie umiał rządzić się! (Śmiech wśród chłopów.)

KATARZYNA.

Co z głupim gadać! Idźcie ojciec do sądu!

JASIEK.

Niech ojciec idą do sądu!

SKIBA.

Do sądu?? A jak to padła wam szkapa, to czemuście wy do sądu nie poszli, żeby wam dał na drugą? A jak zaraza padła na ziemniaki, czemuście nie poszli do sądu, no? A jak to był mokry rok, czemuście sądowi nie padli do nóg jeno mnie? Hę? Po-coście to wtedy nie szli do tego waszego sądu, hę, co?... Wy zatracone gadziny, wy podłe, podłe, podłe, podłe, podłe... Co stary ojciec! Zdechnij prędzej, już niepotrzebny! Dałeś grunt ojciec, wzięliśwa, dałeś chałupę ojciec, wzięliśwa, darowałeś wszystko coś miał... Czegóż jeszcze żyjesz? Abo to, mało ziemi na

ementarzu, że ci się chce tego gruntu, co? Bodaj się ta chałupa na wasze głowy zawaliła! Bodaj się ten grunt pod wami otworzył i was pochłonał! Bodaj niedola moja kamieniem na was zaciężyła, psie dusze, gniazdo robacze, wyrodki! (Coraz ciszej) Wy podłe plemię, podłe, podłe, podłe, podłe... (Pauza.)

KATARZYNA (rozkazująco).

Ojciec!... DREW narąbać na wieczerzę! (Stary drgnął, cofnął się, popatrzył, potem bierze czapkę i rusza ku drzwiom ze schyloną głową.)

ARENДАРZ (podchodząc do Skiby).

A za trzy półkwatki?

SKIBA (wyjmuje trzęsącymi się rękami pieniądze, odlicza i wychodzi).

JASIEK.

Już tych dREW to ja pójdę narąbać! Arendarzu, tu wasze pieniądze za wszystkie półkwatki. Zgoda?

ARENДАРZ.

Niech będzie zgoda.

CHŁOPI.

Bóg zapłać, Jasiek! — Bóg zapłać! — Pochwalony, pochwalony!

ARENДАРZ.

Pan Bóg prowadzi.

CHŁOP 1.

Źle jak ojciec wyklina.

JASIEK.

Ostańcie arendarzu z Bogiem. (Wszyscy zabie-

rają kosy i wychodzą odprowadzeni przez arendarza, który wysuwa się za nimi. Pozostają tylko Kubrak i Katarzyna w oknie. Pauza.)

KUBRAK.

Kasiniu...

KATARZYNA.

Czemu gęby nie pilnujesz przy ludziach?

KUBRAK.

Kasiniu, nie spuszczaaj dziś burka z powroza...

KATARZYNA (śmiejąc się).

Jakiś ty to!

KUBRAK (nucając).

Oj Kasiniu tyś jedyna, człek charuje oj Kasienko, wyjdźże do mnie przez okienko, Jaś już chrapie, dana dyna! (Przysuwa się do niej.)

KATARZYNA.

Co ty tak ciągle śpiewasz?

KUBRAK (nucając).

Mamże płakać, co mi po tem? Lepiej śmiać się, bo śmiech złotem! A że tego złota mało, rade rade dyna dyna, zawszeć będzie się śpiewało, rade rade dyna dyna, tak już w Piśmie Świętem stało...

KATARZYNA.

Szelma jesteś, ale siarczysty!

KUBRAK.

Daj się pocałować! (Wyciąga do niej ręce.)

KATARZYNA.

Idź!

KUBRAK.

No to choć trochę uściskać!

KATARZYNA.

Cóż ci z tego przyjdzie?!

KUBRAK (obejmując ją).

Pocziwy Jasiek, że tak chrapie! Wiesz, jak on tak czasem chrapie, to ja sobie myślę: Panie Boże, wszystkim nam z tem dobrze! Jemu dobrze, mnie dobrze, tobie dobrze... Nie spuścisz dziś burka, prawda? Byłabyś szelma, jakbyś to zrobiła! Burek zaraz za nogi łapie. Ja ci mówię, że jeszcze mi się żadna tak nie udała, jak ty! Niejedna mnie lubiła i w biedzie ratowała, ale żadna nie była tak pocziwa jak ty, Kasiu!

KATARZYNA.

Puszczaj mnie, muszę iść wieczерę Jaškowi nastawiać.

KUBRAK.

Jaś też pocziwy, poczeka! Jeszcze cię tylko pocałuję! (Wchodzi arendarz.)

KATARZYNA (szepem).

Ty... arendarz!... Nie spuszcę burka, jeno przyjdź wczas! (Znika w oknie, Kubrak odsuwa się od okna nucąc.)

ARENDAZ.

Ty źle skończysz, parobczaku!

KUBRAK.

Aby od jednego razu! Co tam! Byle nie markocić! (Bierze czapkę i kosę. Nuci.) Raz się lęgnie si-koreczka, to się cieszyć chce troszeczka, śpiewa sobie

jak parobek, co to nie dba o dorobek! (W drzwiach spotyka się ze Skibą, który wchodzi szybko i siada wzburzony za stołem, dobywając z zanadru papiery.)

ARENДАРZ (z złośliwym uśmiechem).

Jużeście drew narąbali, Skiba?

KUBRAK (nucąc).

A naści ojciec utop się, kiedyś nie umiał rządzić się... (Mówi) Ostańcie z Bogiem mądry Skiba! (Wychodzi.)

ARENДАРZ (podchodząc do Skiby).

Co wam, gospodarzu?

SKIBA.

Czytaj to.

ARENДАРZ.

Kiedy już ciemno.

SKIBA.

To stań se przy oknie. To także przeczytaj. (Podaje dwa papiery.)

ARENДАРZ (u okna).

Tak... to jest kontrakt. (Czyta.)

SKIBA.

Mów, co tam stoi. A z drugiego mów też co tam stoi.

ARENДАРZ.

To jest rozwiązanie tamtego kontraktu.

SKIBA.

Ty masz rozum i na tem się znasz. Za kim

prawo? Mów sumiennie. Ja ci, żydzie, wierzę, boś ty nie całkiem taki jak wszystkie żydy. Co tam stoi napisane? Za kim prawo? (Arendarz czyta półgłosem.) Za kim prawo? No?

ARENDA RZ.

Przecie muszę najpierw przeczytać. (Czyta. Skiba usiłuje być cierpliwym, ale zżyma się i zaciska pięści.)

SKIBA.

Czytaj, czytaj! (Śmieje się.) To nie tak: kitas majdas, oho!... No, co?

ARENDA RZ.

Pomału... (Mruczy) Jeżeli którakolwiek ze stron tu wymienionych... Kontrakt ten został napisany w dwóch jednobrzmiących... (mruczy dalej.)

SKIBA.

A co? A co?

ARENDA RZ (odkładając powoli papiery).

Nu tak, tak.

SKIBA.

Za kim prawo? Co? (Arendarz milczy, Skiba coraz niecierpliwiej) Za kim prawo? Za kim prawo? (Błagalnie) Za kim prawo, arendarzu?

ARENDA RZ.

Będziecie się prawowali?

SKIBA.

Za kim prawo, słyszysz? (Gwałtownie.) Za kim prawo??

ARENDA RZ.

Lepiej się nie prawujecie.

SKIBA.

Ty łotrze z nimi trzymasz! (Chwyta go za pierś.)

ARENDARZ (spokojnie).

Wy Skiba powaryowali. (Skiba go puszcza i siada w poczuciu bezsilności.)

SKIBA.

Więc nie nie mówisz?

ARENDARZ.

Co ja mam mówić?!

SKIBA.

Za kim się sąd opowie?

ARENDARZ.

Może za wami... Może nie za wami.

SKIBA.

A ty za kim byś dał prawo?

ARENDARZ.

Ja za wami. Ale ja nie sąd.

SKIBA.

A gdyby tak po uczciwości sądzić, to za kim prawo?

ARENDARZ.

Za wami. Ale tak po uczciwości to przecie nie można sądzić.

SKIBA.

Nie można? To co jest sąd?

ARENДАРZ.

Co wy wygadujecie, Skiba!

SKIBA.

Co jest sąd, jak nie da prawa? (Zrywa się.) Co jest sąd, gadaj zaraz! Co jest sąd, co jest sąd!

ARENДАРZ (usuwając się).

Co jest sąd? Tu jest nieszczęście, nie sąd!

SKIBA.

Ja tu wam dam inny sąd! Ha, tak? Drwa wam będę rąbał? Pomiatać będziecie starym? Co? Dałem wam wszystko i jeszcze mam się wam wysługiwać, a wy na mnie pluć? Tak... A toście sobie ładny porządek na świecie wymyślili! Ja wam dam sąd, dam wam sąd, który powie, za kim prawo! (Biegnie do okna.) Hej, hej, stój, stójcie! Kuba, Mikołaj! (Kuba do karczmy.)

KUBA.

Nie zakłuli cię jeszcze bracie?

SKIBA.

Ale kłują!

MIKOŁAJ.

O pomstę do Boga woła!

SKIBA.

Zajdźcie no po wieczerzy do mnie pod las.

KUBA.

Ładnieś się stary rządził!

MIKOŁAJ.

Jednym wszystko, drugim nie!

KUBA.

Nie uczyniłeś sprawiedliwości i popadłeś pod klątwę bożą. Przeżegnaj się i zrób porządek.

ARENDARZ.

Wy, Kuba, na brata nie wygadujcie, bo on wam pieniędzy pożyczył na wystawienie chałupy. A Mikołajowi dał osobne gospodarstwo.

MIKOŁAJ.

Ty, żydzie, nie mieszaj się w nieswoje rzeczy.

KUBA.

To może wedle waszego zakonu brat brata niema wspierać?

ARENDARZ.

Ja się do waszego zakonu nie mieszam.

KUBA.

Dobrze robisz, tylko rób tak dalej!

MIKOŁAJ.

Co do was, stryju, to źle nie powiedział. Ojciec was niepotrzebnie wspomagali, bo z naszą krzywdą.

KUBA.

Jaka ci krzywda Mikołajku? Przeżegnaj się i powiedz: Panie Boże odpuść! Ej, Mikołajku, zawszem cię lubił, a ty mi się tak za to wywdzięczasz! Co ja temu winien, że Grzebieniowie tak podeszli brata i was? Co ja temu winien? Czy ja to chwale? Fe... Toć mówię do brata: zrób z niemi porządek!

SKIBA.

Oho, ja tu zrobię porządek! Będzie jasno od tego porządku! Kiedy od prawa ciemno, to ja zrobię, żeby było jasno!

KUBA.

Tyś ojciec swoim dzieciom, za tobą, bracie, prawo i sumienie!

SKIBA (do arendarza).

A widzisz żydzie? (Do Mikołaja i Kuby) Przyjdźcie no dziś po wieczery do mnie pod las. Przyjdźcie cała familia, z kobietami! Pozamykajcie chałupy. Ty Mikołaj weź najlepiej i dzieci z sobą. Calusieńka familia! Co tam sądy, jest jeszcze familia, jeszcze stary Skiba dzięki Bogu nie sam na świecie, jeszcze stoi za nim jak mur familia!

MIKOŁAJ.

Kiedy ojciec tak po nijakiemu rozdzielili.

SKIBA.

Rozdzielię inaczej!

KUBA.

A Bóg pobłogosławi.

SKIBA.

Nie będziecie się więcej boczyli na starego Skibę, oho! Zrobię porządek, jak mi Bóg miły! Drwa mi kazali rąbać!

KUBA.

Tak, tak...

SKIBA.

Przyjdźcie no tylko cała familia, kto żyw!

KUBA.

Tak po nocy? Lepiej jutro.

SKIBA.

Zaraz, zaraz, dziś, nie z jutra! Dość mi nadokuczali! Ty mi, bracie, pomagaj jakom i ja ci pomagał!

KUBA.

Ano trudna rada, to się tam zalezie. Ostań z Bogiem, bracie!

MIKOŁAJ.

Ostańcie z Bogiem, ojciec.

SKIBA.

Niech was Bóg prowadzi. (Kuba i Mikołaj wychodzą.) Daj no gorzałki, żydzie, a duchem! Będzie jasno, cha, cha, cha, cha, cha! (Chowa papiery w zanadrze.) Ja wam dam kontrakty... papiery... tfu! (Dobrywa znowu papiery.) Te papierzyska palą jak ogień. (Mnie papiery.) Jakie to podłe to pisanie... jakie podłe! Całe sumienie w dzieciach można piórkem zapaskudzić! (Rzuca o ziemię.) Podłe!... Gorzałki!

ARENДАРZ.

Nie pijcie więcej, Skiba!

SKIBA.

Przyślesz mi garniec gorzałki... ale zaraz... albo czekaj... półtora garnca... Lepiej półtora. (Płaci.) Masz tu. Najlepiej odrazu. (Pije duszkiem i ciska półkwaterek o podłogę.) Będzie jasno, rozwidni się we łbach jak w siedmiu kościołach! (Ujmuje się obu rękami za głowę.) Mroczy się... i coś gra... dudni jak w młynie... Żydzie, przysyłaj mi zaraz gorzałę...

Gra we łbie!... Trzymaj się, Skiba, żebyś się przed czasem nie rozleciał jak stare pudło! (Wychodzi pośpiesznie. Arendarz ogląda się za nim badawczo i puka palcem w czoło.)

ARENДАРZ (sam).

Co ty chcesz zrobić, Skiba? — Co ten Skiba chce zrobić? — Ma być jasno? — Jak to ma być jasno?— (Podchodzi do szynkwasu, otwiera drzwi w głąb i woła) Sure, hetne! Szykmal dwa garnce gorzałke dem alten Skiba, herste? (Do siebie.) To zacięte chłopcy te Skiby. (Woła.) Dwa garnce... dem alten Skiba... sulst im szyken... Nu dwa garnce, co się dziwić? (Do siebie.) Może wójtowi dać znać? Hm, oni coś szykują... Ale wójt jedzie do miasta...

KATARZYNA (wchodząc).

Arendarzu, co tu ojciec gadał?

ARENДАРZ.

Nu, co miał gadać? Gadał jak się to gada.

KATARZYNA.

Będzie się prawował?

ARENДАРZ.

Abo mnie to Skiba mówi, czy się będzie prawował? Sure, ich gaj com wójt, herste?

KATARZYNA.

Co tam trajkoczesz po żydowsku! Gadaj, co stary chce zrobić?

ARENДАРZ.

Mnie się Grzebieniowa pyta?

KATARZYNA.

Przecież on nie dostanie znikąd dwóch tysięcy?

ARENDARZ.

Bo ja wiem...

KATARZYNA.

Ej, żydzie, już ja widzę, że ty mu chcesz pożyczyc! Tyś z nami powinien trzymać, słyszysz?

ARENDARZ.

Sure, kim hir, ich gaj!

(Kubrak wsuwa głowę przez drzwi.)

KUBRAK (nucąc).

Ej Kasiniu Kasinieczko toć już nocka niedaleczko, a ty gdzie, a ty gdzie?

ARENDARZ (do Katarzyny).

Ten parobczak, co tak ładnie śpiewa, może wyśpiewa Grzebieniowej, skąd stary Skiba weźmie dwa tysiące! (Wychodzi.)

Koniec aktu pierwszego.

AKT II.

(Mieszkanie Skiby. Dokoła bardzo ubogo. W środku stół, za nim ława; parę stolików; na boku tapczan; wiadro. Przy ścianie nad stołem mała lampka płonie. W głębi i po lewej okna, po prawej drzwi. Skiba przechadza się. Zosia zamiata izbę miotłą).

ZOSIA (zamiatając).

O tak, tak... Czemu to u dziadka niema być porządnie! Śmieciska z całego tygodnia! Jaby tak mieszkać nie potrafiła. To przecie nie wielka sztuka zamieść. Niech no dziadek pozwolił mnie codzień rano przychodzić, to będzie tu całkiem inaczej wyglądało. (Otwiera drzwi i wymiata śmieci za próg.)

SKIBA (staje i nasłuchuje).

Widzi mi się, że idą.

ZOSIA (nasłuchuje).

Nie słyhać. (Zamiata.) Strasznie smutno mieszkać tu dziadkowi! Tak daleko od ludzi i jeszcze koło tego lasu! Jak nocą zacznie wiatr gwizdać między drzewami... uj, uj, uj... jaby tam uciekła! Powiadają, że od czasu, jak się Bartek tam powiesił, to w lesie tumani. (Stawia miotłę przy ścianie, nasłuchuje i szybko drzwi zamyka.)

SKIBA.

Słyszysz co?

ZOSIA.

Między drzewami zachichotało...

SKIBA.

Pewnie puhacz.

ZOSIA.

Nie, nie... Tak brzydko zachichotało!

SKIBA.

Nie trzeba się bać, wnuciu.

ZOSIA.

Bać — nie, ale czuwać, bo to złe tak się czai i chce wejść.

SKIBA.

Bardzo powoli się schodzą.

ZOSIA.

Wie dziadek co? (Skiba przechadza się.) Niech no dziadek słuchają.

SKIBA.

Ano?

ZOSIA.

Nieboszczka babka to się czasem pokazuje.

SKIBA.

Zdawało mi się, że ktoś szedł.

ZOSIA (przykucnęła przy ścianie).

Jej tam w ziemi dobrze nie jest. I jakże ma jej być dobrze! Markotno jej o dziadka. Żeby dziadek się nie gniewali, tobym coś powiedziała.

SKIBA.

Ano.

ZOSIA.

Raz w nocy psy okrutnie ujadaly, ażeśmy się wszyscy pobudzili. Matka tarmosi Walka: wstawaj, powiada, wyrzyj jeno przed próg, co się to tam dzieje. Walek się bał i udawał, że śpi. Wtedy zwlokłam się z posłania, odsunęłam rygiel i wyrzałam przed chałupę. Psy mi do nóg, łaszą się, ale pyski odwracają i wyją. Patrzą, niema nic, jeno miesiąc jasno świeci, wieje wiatr a psy ujadają. Postałam tak chwilkę, już chciałam się zabierać, gdy wtem słyszę gdzieś daleko cichy jęk... tak: huuu — huuu... Przeżegnałam się i patrzą w stronę cmentarza. A tu idzie środkiem drogi bieluchna postać. Odrazu ją poznałam. Dygocę jak w ograszce, mówię »Wieczny odpoczynek« a ona idzie prościutko na chałupę Grzebieńców. Burek zrazu szczeknął, ale potem zaczął się jej łasić, ona go pogłaskała, wyjęła z pod chusty jaśniuteńką siekierę i dalej przed chałupą drwa rąbać. Słyszę raz po raz: buch — buch, buch — buch... (Tajemniczo.) To ona tak za dziadka drwa rąbała.

SKIBA.

Ano.

ZOSIA.

Płakałam na progu a matka woła mnie do chałupy i pyta, kto to rąbie. A widzi dziadek? Matka też słyszeli. Mówię tedy matce: nieboszczka. Wtedy matka zaczęła pacierz mówić a potem do mnie: Zośka, zajrzyj tam czasem do dziadka pod las, może mu czego trza.

SKIBA.

Co mówisz, wnuciu?

ZOSIA.

Mówię, że mi wtedy w nocy matka kazali do dziadka czasem zachodzić.

SKIBA.

A tak rzadko zachodzisz? Widzisz, wnuciu!

ZOSIA.

Eh... bo jak się rozwidniło... matka opowiadają ojcu, a ojciec... nie... tylko wtedy trzeba było akurat plewić... Dziadku... teraz ktoś idzie!

SKIBA.

Otwórz no drzwi, Zosieczko!

ZOSIA.

Kiedy mi strach, dziadusiu!

SKIBA.

Będzie dopiero strach, jeszcze go niema! (Słychać dobijanie się do drzwi.) Trza spuścić rygiel. (Otwiera. Wchodzi Walek.)

WALEK.

Pochwalony. (Pogwizduje.)

SKIBA.

Gdzie ojciec i matka?

WALEK.

Idą już. A ty, Zośka, coś tak naprzód świsnęła?

ZOSIA.

Zamiotłam izbę.

WALEK.

Jaka ty jesteś dobra, patrzajcie ludzie! (Pogwizduje.) Żebyś była z pańskiego stanu, mogłabyś zostać zakonnicą. (Śmieje się, siada i pogwizdując nakłada fajeczkę.) Dziadek jej też pewnie zapiszą ze sto złotych!

SKIBA.

Teraz idą!

WALEK.

Gdzieby ta już zaleźli! Ojciec po drodze co chwila stają i spierają się z matką. To już u nich tak jest w modzie. Jakem był forysiem we dworze, to się dziedzic z dziedziczką też ciągle spierali, jeno po chrajcusku, coby ludzie nie rozumieli. (Śmieje się.) Niema tu co robić! (Zapala fajkę i pyka.) Na przyszłą wiosnę pójdę do Hameryki.

ZOSIA.

Walek, ty nigdzie nie pójdziesz.

WALEK.

Abo ja głupi tu siedzieć? (Pociąga dym i spluwa.) Co tu robić takiemu jak ja? Ha, phy, chyba tak zrobić jak Bartek w lesie.

ZOSIA.

Pracuj porządnie, to ci grzeszna myśl do głowy nie przyjdzie.

WALEK.

Jaka tam grzeszna! Hoho, naród teraz po wsiach je coraz to mądrzejszy! To nie tak, jak było za starych! Ten, co był za furmana u dziedzica, wiesz? On w Hameryce bez rok tyle zebrał, że kupił sobie zega-

rek, to mu tak terkotał w kieszeni jak stał i z kim gadał, że aż się ludzie dziwowali.

ZOSIA.

Tobie ojciec i matka nie pozwolą wywędrować.

WALEK.

Bo ja się ich będę pytał!... Phy... Żeby to jeszcze tak mieć jak Grzebieniowie, to nie mówię. Ale tak! Poszczęściło się im, co się zowie, mają grunt, chałupę, siedzą na swoim!

ZOSIA.

Za krzywdą dziadkową. Przecie to każdy wie!

WALEK.

Krzywda czy nie krzywda, ale jest grunt, jest chałupa! Co tam kto wie! Oni umieli około swego chodzić i tyle!

ZOSIA.

Lepiej byś nie gadał, Walek!

SKIBA.

Co wy mówicie?

ZOSIA.

Eh, Walek plecie sam nie wie co!

SKIBA.

Mówiliście o Grzebieniach?

ZOSIA (zagadując).

O Grzebieniach także mówiliśmy. Dziadku, teraz ktoś znowu idzie...

WALEK.

Babka nieboszczka idzie! (Śmieje się.)

ZOSIA.

Walek!

SKIBA (nie słyszał).

Kto idzie, Walek?

WALEK.

Mówię, że moi starzy idą.

(Wchodzą Mikołajowie.)

MIKOŁAJ.

Pochwalony.

MIKOŁAJOWA.

Pochwalony.

SKIBA (uradowany).

Na wieki wieków. Tożem się was, kochane dzieci, już doczekać nie mógł! Ano siadajcie za stołem. Zaraz sięgnę po napitek, to nie zawadzi. (Przynosi wódkę.) A nie wiecie, czy Kuba z żoną niedługo nadejdą?

MIKOŁAJ.

Walek, fajka z gęby!

WALEK.

O, już mi tej trochę dymu żalujecie!

MIKOŁAJ.

Żebyś nas kiedy z dymem tym puścił? (Tupie nogą.) Fajka z gęby, mówię! Widzicie, jaki mi pan! (Walek wytrząsa fajkę i chowa.) Jeszcześ mi się na fajkę nie dorobił!

SKIBA.

Daj mu tam, synu, co on tam wyćmi!

MIKOŁAJ.

Próżniak on i ladaco! (Do syna.) Ja ci tam dawno kości, szelmo, nie porachowałem, to ci pewnie jaka psia wyrosła. Myślisz, że to będzie tak, jak dziadek z Kasią? Nie wszyscy są głupi na świecie, hoho! (Skiba się odwraca.) Trza było, ojciec, Kasię bić, bić, bić co wlezie, toby teraz było inaczej!

MIKOŁAJOWA.

A juści, że byłoby inaczej! (Wzdycha.)

MIKOŁAJ.

Skąd ma być w dziecku poszanowanie, jak się go nie bije! Czwarte przykazanie: bić, bić co wlezie! Oho! Chwast nad pszenicę wyrósł. To tak a nie tak.

MIKOŁAJOWA.

Teraz my wszyscy na tem cierpimy.

SKIBA.

Cóż wy cierpicie, moi kochani?

MIKOŁAJ.

Jednemu wszystko, drugim nic.

MIKOŁAJOWA.

Tak, tak, tak, tak!

SKIBA.

Dostałeś przecie odemnie swój grunt tak jak Kasia. Sprawiedliwie was podzieliłem, bom jeno was dwoje miał. A tyś nawet kruszynę więcej dostał jako żeś syn. Pomogłem ci urządzić gospodarstwo, nauczyłem co i jak. Postąpiłem z tobą sumiennie.

MIKOŁAJOWA.

Jakie mi tam sumiennie! Ojciec niby to podzielili między syna i córkę a na swoim zostali. Ale za życia wszystko oddali zięciom. Czy to tak powinno być?

SKIBA.

Puściłem jeno w dzierzawę!

MIKOŁAJOWA.

Ładna mi dzierzawa!

MIKOŁAJ.

Żeby was!

MIKOŁAJOWA.

Taką dzierzawę to i mybyśmy byli z pocałowaniem ręki wzięli!

MIKOŁAJ.

To się wie, oho!

WALEK.

Już się kłóca... (Chichocze.)

MIKOŁAJ.

Co to mówić: dzierzawa! Dierzawa to dzierzawa, a to każdy wie, co jest! Ojciec za życia wolę swoją zrobili. Grzebieniom grunt i chałupę, bratu ciepłą ręką dwa tysiące... A nam co? Śmiech!

SKIBA.

Synku!

MIKOŁAJ.

A tak: synku, synku! Ja syn, ona córka, syn pierwszy, abo nie? Co mówi prawo? Matka, przecie nam wójt gadał, organista też gadał! Trzeba wie-

dzieć, co to jest prawo jak się jest ojcem i ma dzieci, bo potem krzywda się dzieje! (Skiba mu chce przerywać.)

MIKOŁAJOWA.

Niech mu ojciec nie przerywają, dobrze mówi, trza wiedzieć, co to jest prawo! Krzywda i koniec! Abo on nie syn? Ale to tak: ona syn, on jak nie syn, ale jak jaki parobas, co to zapchać gębę łyżką i siedź cicho! Moi ludzie, to teraz tak z ojcami!

MIKOŁAJ.

Ten głupi Jasiak! Drugi na ten przykład toby musiał całe życie charować i nie miałby tego, co ten śpioch!

MIKOŁAJOWA.

A ta Kaśka szelma, co to męża pilnować nie potrafi, jeno się za drugim ogląda!

SKIBA (uderzając pięścią w stół).

Cicho!! (Milkną.) Ty mi na córkę tak nie gadaj! (Pauza.) Jaka ona tam jest, taka jest; ale co to, to wierutne łgarstwo!

MIKOŁAJOWA (wzdychając).

Wróble na dachu śpiewają...

SKIBA.

Złe języki i koniec! Gdybym wiedział, ha, temi rękami... Nie, paskudne, złe języki! (Pauza.)

WALEK (na stronie).

Zaraz się za łby wezmą...

ZOSIA.

Walek! (Pauza.)

MIKOŁAJ.

Co prawda to prawda, ale wyście, ojciec, zawsze Kasię mieli za coś lepszego, jak mnie.

MIKOŁAJOWA.

To każdy mówi.

SKIBA.

Wszystkich was jednakom kochał.

MIKOŁAJOWA.

Jak się kocha wszystkich jednako, to się wszystkich jednako dzieli.

MIKOŁAJ.

I wtedy tylko można wiedzieć, że się wszystkich jednako kochało.

MIKOŁAJOWA.

A tak! A tak!

MIKOŁAJ.

Oni mają jednego Grzegorzika a my tego Walka hunewota, tę Zośkę smerdę... A co jeszcze może być!

MIKOŁAJOWA.

Nam dwoje pomarło a im nic nie pomarło!

MIKOŁAJ.

I ja syn a ona dziewucha!

(Dalej mówią razem.)

MIKOŁAJOWA.

Ale kto tam patrzy, czy syn czy córka!

MIKOŁAJ.

Niby ja nie pracowitszy? Niby mnie nie warto było choć tyle dać, co im?

MIKOŁAJOWA.

I jaka to jeszcze córka! Abo to synowa nie prowadzi się porządnie? Synowa to zawsze piąte koło u wozu!

MIKOŁAJ.

A zięciaszek-śpioszek, ładny ptaszek, skaranie boskie, żeby diabli takiego nicponia wzięli!

MIKOŁAJOWA.

My to czasem Zośkę ojcu przyślemy a oni jeszcze każą ojcu drwa rąbać! U nas ojciec ani jednej szczapy nie przerąbał a u nich jeno: buch, buch, buch, buch.

MIKOŁAJ.

Tak, tak, widzicie, co to syn, co to córka! Ho, ho! Cała wieś jedno gada, wszyscy się z nas śmieją! Ho, ho! Co my przy nich! Ha, biedale i tyle! Szelmy, psubraty!

(W czasie tej kłótni wchodzi Kuba i Filipina.)

KUBA.

Tu już w najlepsze językami mielą i Pana Boga obrażają! Niech będzie pochwalony! (Głośniej.) Niech będzie pochwalony! (Wszyscy milkną i oglądają się.)

WSZYSCY.

Na wieki.

KUBA.

Kto gębę na rygiel zamyka, tylko siedm razy na dzień zgrzeszy. Kto językiem pytluje, to i siedmdziesiąt siedm mało. Zapamiętajcie to sobie, moi kochani!

FILIPINA.

Mój dobrze powiada.

SKIBA.

Dziękuję ci, bracie, żeś mnie nawiedził. I wam, bratowo, dziękuję. O, mam tu i gorzałkę, żeby na sucho nie radzić. (Usługuje.) Nie żeby Pana Boga obrażać, jeno żeby lepiej było gadać. Siadajcie na ławie, moiściewy!

KUBA.

Ja pić nie będę.

FILIPINA.

I ja nie.

KUBA.

Chyba tylko troszkę.

SKIBA.

Bez obrazy boskiej. (Bierze w rękę napój.) Wasze zdrowie, niech wam Pan Bóg da szczęście! (Piją.)

KUBA.

Pomagaj sobie, Bóg ci dopomoże. Jak sobie nie pomożesz, to i Pan Bóg o tobie pamiętać nie będzie. (Mikołaj i Mikołajowa zaczynają chichotać.) I nie żałuj drugiemu, kiedy sam masz dosyć, bo ci Pan Bóg odbierze to, co masz. Dzisz, tak!

FILIPINA.

Mój dobrze mówi.

MIKOŁAJOWA (do Filipiny).

Wy zawsze za swoim jak za panią matką pacierz!

MIKOŁAJ.

Nie żałuj drugiemu, kiedy sam masz dosyć... Wy, stryju, wiecie to najlepiej, bo i o was ojciec pamiętali. To wam teraz mądrze gadać. Oho!

KUBA.

O czem ty mówisz, Mikołajku?

MIKOŁAJ.

Stryj ta dobrze wiedzą.

KUBA.

Co mam wiedzieć? Nie nie wiem!

MIKOŁAJ.

Jak potrzeba, toście mądrzy, jak potrzeba, toście głupi. Jak potrzeba.

SKIBA.

Jeszcze raz się napijmy, co? (Nalewa.) To ci, bracie, dobrze robi. To na noc. I wam, bratowo, dobrze robi. Pij, Mikołaju. Trza dać Walekowi i Zośce.

MIKOŁAJOWA (do męża).

Jak stary robi fondę, to czemu nie mają pić!

MIKOŁAJ.

Czemu nie mają pić!

SKIBA.

Masz tu, Walek!

ZOSIA.

Ja Bóg zapłać, dziadusi, pić nie będę.

WALEK.

Ja ta święty nie jestem.

SKIBA.

Pijcie, dziateczki kochane, jużem dawno was pod swoim dachem nie miał! Aż mi lżej, jak was tak widzę wszystkich zebranych na tych śmieciach! Oj, przypominają się inne czasy, kiedy to nieboszczka z nami siadywała! Tak się czasem przypomni, aż za serce coś...

KUBA.

A pocoś nas, bracie, wzywał, bośmy po nocy przyszli i przecie do rana siedzieć tu nie będziemy.

FILIPINA.

Jeszcze gotów kto tymczasem chałupę okraść.

SKIBA.

Zawezwałem was, boście moja familia, a familia to święta rzecz.

KUBA.

Juści.

FILIPINA.

Juści.

MIKOŁAJ.

A no juści.

SKIBA.

To też słuchajcie jeno.

KUBA.

No, co?

SKIBA.

Jak mój nieboszczyk ojciec miał spór z bratem, to też zwołał familię i rozsądzili.

KUBA.

Miałem wtedy ośm roków.

FILIPINA.

Mówiłeś, że dziesiąty.

KUBA.

To jak się kościół spalił. Ale jak się sądzili przez
familiję, to miałem ośm roków.

SKIBA.

Kto może lepiej wiedzieć, co prawo a co nie, jak
nie familia! Sąd tak nie może wiedzieć, bo obcy.

KUBA.

Juści że nie może wiedzieć. Chyba żeby zasiadali
w nim też swoi.

MIKOŁAJ.

Ale nie zasiadają.

MIKOŁAJOWA i FILIPINA.

A nie, nie!

SKIBA.

Więc sąd nie może wiedzieć, tylko familia.

WSZYSCY.

A juści.

SKIBA.

Co należy do najstarszego, niby ojca, albo dziada,
to przechodzi na syny i na wnuki. Więc familia sądzi
swoją rzecz a sąd sądzi nieswoją rzecz.

KUBA.

Tak jest. Sąd by musiał żyć za ojca, syna i wnu-
ka, aby sprawiedliwie osądzić. A on nie żyje tak,

jeno się zamaławszy zmienia. Raz jest ten, to znowu ten, jak wypadnie.

SKIBA.

A ty, Mikołaju, co mówisz?

MIKOŁAJ.

Ja mówię jak stryj.

SKIBA.

A wy, bratowo?

FILIPINA.

Ja mówię, jak mój.

SKIBA.

A ty, synowo?

MIKOŁAJOWA.

Nie może być inaczej, tylko tak, jak wszyscy mówią.

SKIBA.

Kiedy wszyscy jedno mówicie, to wam powiem, że z Kaśką i Jaśkiem trzeba skończyć.

KUBA (po pauzie).

A jak to chcesz skończyć z niemi?

MIKOŁAJ.

Diabeł tam skończy, nie wy!

KUBA.

Bo co prawda, bracie, toś tam trochę pokpił ten cały interes. Nie mówiłem ci tego, ale jak się teraz wszyscy zebrali, to ci mówię.

FILIPINA.

Co to było dawać grunt i chałupę jeszcze w dodatku! Co teraz brat ma? Norę pod lasem, w której strach mieszkać. Tu się tylko obwiesić, nic innego. Czy to się godziło tak postąpić?

KUBA.

Pan Bóg ci chyba wtedy rozum odebrał, żeś tak zrobił, bracie. Zaraz gadałem, że to dobrze nie będzie.

MIKOŁAJ.

Ale ojciec słuchać nie chcieli, jeno sam swoim rozumem się pokierowali. Ma też teraz ojciec! Ale, żeby to ojciec sam miał! My wszyscy mamy! My wszyscy pokrzywdzeni!

MIKOŁAJOWA.

Każdy ma krzywdę a my już najgorzej. Tyle dzieci, Matko święta, aż strach! Podatki, ogniowe, jeden rok gorszy od drugiego!

KUBA.

Tak, tak, zaraz mówiłem!

(Zaczynają wszyscy razem mówić i coraz głośniej.)

FILIPINA.

Sama przytem byłam, też mówiłam!

MIKOŁAJ.

Ja ciągle mówiłem i mówię!

MIKOŁAJOWA.

Co krzywda to krzywda! A krzywda to straszna rzecz!

KUBA.

Uderz się w piersi, bracie!

FILIPINA.

Teraz złęgo nie odrobi!

MIKOŁAJ.

Ojciec musieli byli nas się radzić!

MIKOŁAJOWA.

Ojciec zawsze chcą mieć swój rozum we wszystkim!

WALEK.

Dziadek to o nas nie pamiętali!

ZOSIA.

Biedny, biedny dziadek! Co ty wygadujesz, Walek!

KUBA.

O, to takie rządy na starość!

MIKOŁAJOWA.

Krzywda, krzywda, krzywda, krzywda!

MIKOŁAJ.

Tak jest, krwawa krzywda!

KUBA.

Co masz, sameś chciał!

MIKOŁAJOWA.

Krzywda, krzywda, krwawa krzywda! Mój do-
brze mówi, krzywda!

WSZYSCY.

Krzywda! Krzywda! Krzywda!

SKIBA (uderzając w stół).

Cicho! (Milkną.) Chyba, że krzywda... Ale nie
będzie jej dłużej. Słuchajcie.

WSZYSCY.

Słuchajcie, słuchajcie!

SKIBA.

Niedługo mi żyć na tym świecie a strach odejść i nie podzielić tak, jak się powinno. Bo by potem w grobie spokoju nie było. Trzeba was podzielić jak należy. (Powstaje hałas. Wszyscy zrywają się z miejsc.)

WSZYSCY.

Podzielić? — Podzielić na nowo? — Dobrze ma, podzielić! — Dziel że tu teraz! — Tamci swego nie oddadzą! — Krzywda, krzywda, krzywda! — Podzielić na nowo, podzielić!

SKIBA.

Kiedy mi mówić nie dajecie!

KUBA.

Cicho!

FILIPINA.

Cicho!

SKIBA.

Grzebieniowie muszą mi oddać grunt i chałupę a wy mi do tego pomożecie. Jak mi oddadzą, to wtedy zrobię z wami wszystkimi u wójta testament, abyście nie byli pokrzywdzeni. (Pauza.)

MIKOŁAJ.

Testament dobra rzecz.

MIKOŁAJOWA.

Ano dobra.

MIKOŁAJ.

Niech jeno oddadzą grunt. (Pauza.)

WALEK.

A jak po dobroci nie oddadzą? (Chichocze cicho.)
(Pauza.)

KUBA.

Hhhmm...

MIKOŁAJ.

Ta kto ich przymusi! (Pauza.)

SKIBA.

Ja wam powiem, kto ich przymusi.

WSZYSCY.

Kto? Kto? Kto? Kto?

SKIBA.

F a m i l i a !

KUBA (po chwili).

Familia może przymusić.

FILIPINA.

To się wie, że może.

MIKOŁAJ.

Ale jak? Niby to oni tacy!

SKIBA.

Więc też trzeba ich tu zwołać, aby przy was po dobroci oddali.

KUBA.

Można ich przywołać. Pójdiesz, Walek. Albo lepiej Mikołaj.

MIKOŁAJ.

Walek pójdzie, coby jeno tu zaszli. Niech nie nie mówi, co i jak.

FILIPINA.

A jak nie przyjdą?

SKIBA.

Familia wzywa!

KUBA.

To też trzeba kogoś starszego posłać a takiego, z którym nie są źle. (Do Filipiny.) Idź ty matka z Walkiem.

FILIPINA.

Mogę iść.

MIKOŁAJ.

Możecie iść.

SKIBA.

Niech was Bóg prowadzi, bratowo!

FILIPINA.

Walek, szykuj się!

MIKOŁAJ.

Czekajcie. No a co zrobim, jak nie zechcą po dobroci oddać?

SKIBA.

To ich familia osądzi. Z familią nie zaczynać. To życie albo śmierć!

MIKOŁAJOWA.

Życie albo śmierć!

KUBA.

Tak zawsze było. Idź matka!

(Filipina wychodzi z Walkiem. Chwila ciszy.)

SKIBA (nalewając).

Pijcie, moi kochani!

KUBA (pijąc).

Życie albo śmierć!

MIKOŁAJ.

Śmierć! (Pauza. Zosia zaczyna cicho płakać.)

SKIBA.

Tak...

ZOSIA (tuląc się do Skiby).

Oj dziadusi, dziadusi...

SKIBA.

Nie bez, wnuciu, patrz a ucz się, jako to jest na świecie, abys potem wiedziała.

MIKOŁAJ.

Cicho, Zośka, idź do kąta! (Zosia usuwa się posłusznie na poprzednie miejsce i cichutko płacze.)

KUBA.

Tak... (Pauza.)

SKIBA.

Pijcie, moiściewy! Należę wam, żeby nie było nam długo czekać.

KUBA.

Ano, żeby nie było długo czekać. (Skiba nalewa. Piją.)

MIKOŁAJ.

Oho, co oni tam sobie myślą! Biednego starego pokrzywdzić, czy co? Czy to oni was nie pokrzywdzili? Zawsze wychodziliście z nimi uczciwie a oni was za psa nie mieli! Zawszem to mówił!

KUBA.

Co pokrzywdzili, to pokrzywdzili! Na mój rozum to bardzo proste. Taka to zajadłość, że już brat brata nawet wspomóc dwoma tysiączkami nie może, bo zaraz ludzie wygadują!

MIKOŁAJ.

Nikt nie wygaduje, jeno trzymajcie z nami!

KUBA.

Trzymam z wami. Z kim mam trzymać? Może z nimi? Z bratem trzymam, bo mi brat! Kiedy chcesz, bracie, robić testament, to oni muszą oddać a jakby nie chcieli oddać, to śmierć!

MIKOŁAJ.

Śmierć!

KUBA.

Śmierć, mówię! (Pije.) Niech wiedzą, że familia to nie byle co! Zawszem mówił, że staremu bratu krzywda się dzieje, jeno nikt nie chciał słuchać tego, com mówił! Każdy od Kuby mądrzejszy! To też widzicie, co się teraz stało!

MIKOŁAJ.

Grunt i chałupa, albo śmierć!

KUBA.

Tak abo tak! (Pije.) Familia osądzi! Niech wie-

dzą, psie syny, co to familia, co to testament! Brat mi dał dwa tysiące!

MIKOŁAJ.

I nie wymawia.

KUBA.

A oni co?! Tfu!

SKIBA.

Drwa im musialem rąbać!

MIKOŁAJ.

U nas nigdy ojciec nie rąbał, jeszcze czasem przysyłałiśmy Zośkę, żeby obsłużyła.

KUBA.

My tylko dlatego nie przysyłałiśmy, że nasze dzieci duże i w świecie.

SKIBA.

Za nic mnie mieli!

MIKOŁAJ.

Bo to takie czartowskie plemię. My inaczej!

SKIBA.

Napijma się jeszcze.

KUBA.

Napijma się jeszcze.

MIKOŁAJ.

Kiedy ojciec funduje, to napijma się jeszcze.
(Piją.)

SKIBA.

Oni po dobroci oddadzą.

KUBA.

Nie można wiedzieć!

MIKOŁAJ.

Aha, oddadzą! To ich nie znacie! Ja ich znam lepiej! Głupi Jasiek to by ta może oddał, ale nie Kaśka. Ona ma diabła za skórą. Wiecie, ojciec, że to ładna kobieta. Jasiek naprawdę głupi. Ten Kubrak to się tam dobrze kręci a czasem sypia u nich.

SKIBA.

Łzesz!

MIKOŁAJOWA.

Cicho, Mikołaj...

SKIBA.

Łzesz, mówię! Słyszysz? Łzesz!

KUBA.

Napijma się lepiej, co tam...

(Mikołajowa odciąga męża i szepcze mu na ucho.)

SKIBA.

Kaśka dobra żona, wy mi tak nie gadajcie!

KUBA.

Dobra, bardzo dobra, zawszem gadał... Napijma się.

MIKOŁAJ.

Napijma się, ojciec.

SKIBA.

Widzi mi się, że ktoś idzie!

ZOSIA.

Nikt jeszcze nie idzie.

MIKOŁAJ.

To się tak gada, byle gadać. Niech się ojciec nie gniewają.

SKIBA.

No, no...

MIKOŁAJ.

Tę siwą szkapę Jańskową to mnie dacie. Z moim gniadym wałachem będą do pary.

KUBA.

Jak jeden brat zamrze, to drugi jest opiekunem. Wójt mówi... że zawsze tak prawo mówi... Bracie, bracie! Oj, oj, oj, oj! Tak mi cię żal! Oj, oj, oj, oj! Już ja o twoich sierotach nie zapomnę, jakbyś ty przypadkiem umarł. Ja uczeiwy człowiek! (Bije się w pierś.) Niech mnie piorun trzaśnie!

MIKOŁAJ.

Nam ta opieki już nie trza! (Mikołajowa znowu go odciąga.)

SKIBA (wybuchając).

I to ja krzywdziciel! Ja dręcę swoje dzieci! Ja im odejmuję, co ich! Ja, ja, ja! Boże, Boże! Ty na wysokiem niebie królujesz i w dół patrzysz i widzisz i słyszysz i wszystko na wylot przenikasz i wszystko sądzisz i to co chcesz, to musi być!

MIKOŁAJ.

Musi być!

KUBA.

Musi być! Choćby śmierć!

MIKOŁAJ.

Choćby śmierć!

SKIBA.

Boże miłosierny, ty pomóż!

(Wchodzi Filipina z Walkiem. Filipina milcząc siada na ławie, Walek na progu.)

MIKOŁAJ.

A gdzie Grzebieniowie? (Pauza.)

KUBA.

Gdzie Grzebieniowie?

SKIBA.

Gdzie Kaśka i Jasiek?

WALEK.

Będziecie ich tu widzieli! (Obecni spoglądają po sobie.)

SKIBA (zrywając się).

Co? Jak? Co? Jak? Jak?

FILIPINA (zaczyna płakać).

O ja nieszczęśliwa, na co to mi przyszło!

KUBA.

Bój się Boga żywego, co się stało?

FILIPINA.

Burka na nas spuściła, szczyła nas! (Szlocha.)

SKIBA.

Boże mocny... Boże mocny...

FILIPINA.

Prawujcie się, powiada, co wyprawujecie? Głupi stary, kiedy rozwiązał kontrakt! Miał nas w garści, wołała, teraz my mamy grunt i chałupę w garści, wołała. Oddajcie mi dwa tysiące, wołała! (Szlocha.) Spódnice mi burek rozdarł, o! widzicie! Tyle mam z tego!

SKIBA.

Psami szczuła??

KUBA.

Mówiłem zaraz, że nie przyjdą. Nie chcieliście wierzyć.

MIKOŁAJ.

Bo też wy stary z ludźmi sobie rady nie umiecie dawać!

MIKOŁAJOWA.

Starzyście a chcecie się rządzić. Mamy teraz utrapienie! Coście z nami zrobili!

KUBA.

Już co prawda to prawda, zawszem gadał. A teraz tylko mojej spódnice pies poszarpał! O!

MIKOŁAJ.

Trzeba było grunt w garści trzymać, trzeba było nie brać dwóch tysięcy a jak się wzięło, nie dawać wszystkim świętym! Trzeba było kontraktu nie rozwiązywać!

FILIPINA.

Biedna ja, biedna, psami szczuła, spódnica potargana! Ojej! jej!

WSZYSCY.

Samiście sobie winni! — Krzywda, krzywda! —
 Kto gadał inaczej? — Nikt nie gadał inaczej, każdy
 to samo gadał! — Nas wszystkich pokrzywdziliście!
 — Krzywda, krzywda, krzywda, krzywda!

SKIBA.

Sam po nich pójdę!

(Rusza ku drzwiom i spotyka się oko w oko z Katarzyną, która staje w progu w postawie wyzywającej.
 Wszyscy milkną, Skiba cofa się o krok.)

(Milezenie.)

KATARZYNA.

Żebyście nie myśleli, że się was boję, to przysłałam.

SKIBA.

Gdzie Jasiek?

KATARZYNA.

Jasiek w domu. Sama tu jestem. Oto wam powiem, że wara wam od gruntu i chałupy!

KUBA.

Widzisz, bracie.

KATARZYNA.

Grunt nasz, chałupa nasza. Wyszliśmy ją i wypracowali przez pięć lat. Wzięliście dwa tysiące, to macie dosyć. A jak nie, to idźcie do sądu. Obaczycie za kim prawo!

SKIBA.

Ale sumienie co innego!

KATARZYNA.

Niech ojciec o sumieniu nic nie gada. Familię ojciec na nas podmawia? Tak?

FILIPINA.

Psami szczujesz, tak?

KUBA.

Cicho, matka!

KATARZYNA.

Tak, ojciec. Choćby i przyszło prawo przeciw nam, to chałupy i tak nie oddam i gruntu też nie oddam, nie nie oddam, nie oddam, rozumiecie?

KUBA.

Widzisz, bracie.

KATARZYNA.

A familią nas nie straszcie, bo my się tego nie boimy. Familię sobie zatknijcie, jak tu pod lasem co posiejecie. Co nam zrobicie wy i familia? Co? Spalicie nas, co?

MIKOŁAJ.

Śmierć!

FILIPINA.

Ty na familię nie wygaduj!

MIKOŁAJ.

Ej, nie wygaduj na familię, bo ci familia pokaże, co potrafi!

MIKOŁAJOWA.

Z familią zadzierać, to śmierć!

MIKOŁAJ.

Śmierć!

KUBA.

Śmierć!

KATARZYNA.

Co wy, stare wiechy, sobie myślicie, że mnie tu waszem gadaniem napędzicie strachu? Co mi familia! Ja jestem sobie sama familia a wy mi zasię z podwórka mojego, bo was całą przezacną familię psami wyszczują!

WALEK (chichocząc).

Kubrak ci pomoże! Chi, chi, chi, chi...

KATARZYNA.

A ty, kpie-nedorostku, milcz, bo ci twoją prze-mądrzałą gębę tak zamknę, że jej już nigdy nie otworzysz! Wara mi, familio, od chałupy i gruntu! Zachećciało wam się cudzych gruszek? Co? Psy nie familia!

KUBA.

Słyszycie?!

FILIPINA.

Ona nas wszystkich z błotem miesza!

MIKOŁAJOWA.

Widzicie ją! Kubrak ci bliższy jak familia?

MIKOŁAJ.

Śmierć!

SKIBA (łapiąc się za głowę).

A jam tę Kaśkę tak miłował! Wielki Boże, wielki Boże!

KUBA.

Nie ci familia? Myślisz, że tu wszyscy darmo grunt i chałupę dają?

MIKOŁAJOWA.

Że tu wszyscy tacy głupi, co? co?

FILIPINA.

Takaś ty to mądralka? Wiesz co to familia jak osądzi, co?

MIKOŁAJ.

Śmierć, śmierć!

(Powstaje wrzask, Zosia płacze, Walek chichocze, Kuba wygraża, Filipina się szasta, Mikołajowie przyskakują do Katarzyny z pięściami.)

WSZYSCY.

Czekaj, przyjdzie twój koniec! — Śmierć, śmierć!
— Z familią zaczęłaś! — Sama wyzwałaś! — Śmierć, śmierć!

SKIBA.

Kobieto, miejże Boga w sercu!

WSZYSCY.

Czekaj, czekaj, czekaj! — Dostanie ci się! — Familia osądzi!

KATARZYNA.

Ja tu z wami ujadać się nie będę! Ostańcie

z Bogiem! (Wychodzi. Wszyscy rzucają się za nią, Skiba ich powstrzymuje.)

SKIBA.

Puścić ją! (Wszyscy się cofają.) Niech sobie idzie. Siadajcie. (Siadają.) Mikołaj, dajno gorzałki. (Mikołaj nalewa. Piją z wyjątkiem Skiby, który ujął się za pierś, drży i walczy ze sobą.) Sama tego chciała, co ma być... co teraz musi pyć... Familia osądzi... Sami powiedzieliście... Wy nie możecie mieć przez nich krzywdy... Ja stary... niedługo mi tu żyć... i na to wszystko patrzeć... Ale chcę w grobie leżeć spokojnie i przed Panem Bogiem stanąć jak człowiek sprawiedliwy, jak ojciec, brat i dziad sprawiedliwy, za którym do nieba nie pójdzie pomstowanie... Wy mi więc mówcie, co myślicie.

KUBA.

Familia osądzi.

FILIPINA.

To do familii należy.

MIKOŁAJOWA.

Życie albo śmierć!

MIKOŁAJ.

Śmierć!

WALEK.

Toż to już dzień bije przez okna chałupy! (Świta.)

SKIBA.

Dzień... ale przyjdzie wieczór i noc... I musi być sprawiedliwość... Mówię pierwszy: śmierć!

MIKOŁAJ.

Śmierć!

KUBA.

Śmierć!

FILIPINA i MIKOŁAJOWA.

Śmierć!

SKIBA.

Kiedy sama chciała z dymem puścić, to niech pójdzie z dymem... niech pójdzie!

KUBA.

Sprawiedliwość musi być!

MIKOŁAJ.

Musi być!

SKIBA (zniżając głos).

Trza, jak noc zapadnie, podeprzeć okna i drzwi.

Mikołaj, słyszysz?

KUBA (zupełnie pijany).

Śmierć, śmierć!

MIKOŁAJ.

Trzeba wykraść siekiere, żeby się nie wyrąbali.

SKIBA.

Sprawiedliwość musi być!... Powiedzieliście: śmierć!... Nie może być inaczej... Nie może, nie może, nie może... nie, nie, nie... Już teraz nie!... Familia sądzi... Wy familia... Ona wam wszystkim... Pijcie jeszcze... I ja będę pił... Familia sądzi, przysięgnijcie!

KUBA.

Prawą rękę z palcami do góry, o, tak!

FILIPINA.

Wstać, wstać!

MIKOŁAJOWA.

Przysięgać razem, wszyscy przysięgać! Potem będzie testament! Przysięgać, że i testament będzie!

SKIBA.

Przysięgam na Boga żywego!

WSZYSCY.

Przysięgamy na Boga żywego!

SKIBA.

Śmierć!

MIKOŁAJ.

Śmierć!

WSZYSCY.

Śmierć!

SKIBA.

I czy ja dobrze a uczciwie robię?

WSZYSCY.

Przysięgamy na Boga żywego!

MIKOŁAJ.

Że nie będzie żadnej zdrady? Przysięgać!

WSZYSCY.

Przysięgamy na Boga żywego!

MIKOŁAJ.

Więc śmierć!

WSZYSCY.

Śmierć!

SKIBA.

Tak nam Panie Boże dopomóż!

KUBA i MIKOŁAJ.

Śmierć!

WSZYSCY.

Śmierć!

ZOSIA.

Dziadku, ola Boga, co wam jest? (Podbiega.)

WALEK (biegnąc również).

Trzymajcie, dziadek się wali!

WSZYSCY (nie widząc, z rękami do góry).

Śmierć! Śmierć! Śmierć!

Koniec aktu drugiego.

AKT III.

(Mieszkanie Grzebieniów; dostatek zamożnego kmiecia. W głębi schody na strych; drzwi po prawej, okno po lewej. Stół, stolki, szafa z naczyniami, przy ścianie łóżko zastane pierzynami wysoko; na ścianach liczne obrazy świętych. Na kominie suty ogień; przypiecek. Panuje zmrok; główne oświetlenie z komina. — Jasiiek, Katarzyna i Grzegorzyc przy wiczerzy.)

KATARZYNA.

Grzegorzyc, nie gap się, tylko jedz!

JASIEK (skończył jeść i ziewa).

Oooaaah! (Przeciąga się.) Spać mi się chce.

KATARZYNA.

Podjedz sobie jeszcze, będziesz lepiej spał.

JASIEK.

Kiedy już więcej nie mogę. (Ziewa.)

GRZEGORZYK (skończył jeść).

Matulu...

KATARZYNA (jedząc).

Czegóż?

GRZEGORZYK.

Dziadek dziś nie przyszli drew rąbać.

KATARZYNA.

Cicho bądź i jedz.

GRZEGORZYK.

Kiedy już zjadem. Matulu...

KATARZYNA.

No co?

GRZEGORZYK.

Dziadek więcej nie będą przychodzili?

(Katarzyna nie odpowiada ; wstaje i zbiera miski.)

JASIEK.

Oooaaah! Kaśka, wiesz, mnie czasem żal starego.

KATARZYNA.

Czy szkapy napojone?

JASIEK.

Pewnie nie...

KATARZYNA.

Czekasz, aż im się woda sama do żłobu naleje?

JASIEK.

Kiedy mi się bardzo spać chce.

KATARZYNA.

Wody szkapom nalać nie potrafisz, ale starego bronić potrafisz. Trzeba im dać pić. (Idzie ku drzwiom.) Skaranie boskie z takim głupim człowie-

kiem. (Staje w progu.) Czy wójt i arendarz wrócili z miasta?

JASIEK.

A to jeździli do miasta?

KATARZYNA.

Tybyś jeno spał!

JASIEK.

Eh, Kaśka... jesteś zawzięta... My trochę tego starego pokrzywdzili... Oooooaaah!

KATARZYNA.

Głupiś. (Wychodzi.)

GRZEGORZYK.

Tatulu...

JASIEK.

Co?

GRZEGORZYK.

Zośka mówiła, że dziadek są biedni. Czy dziadek są biedni?

JASIEK.

Dlaczego mają być biedni? Mają nas, Mikołaja, Mikołajową... Oooooaaah!

GRZEGORZYK.

Tatulo dziadka nie kochają?

JASIEK.

Bez co?

GRZEGORZYK.

Bo matula nie kochają.

JASIEK.

Kto ci gadał!

GRZEGORZYK.

Zośka.

JASIEK.

Co tam Zośka wie!

GRZEGORZYK.

A mnie też żal dziadka.

JASIEK.

Oooaaah... Kogo nie żal?... Oooaaah... Wleź za piec i śpij.

GRZEGORZYK.

Dobrze, tatulu. (Wygramolił się na przypiecek.)
Śpijcie z Bogiem, tatulu.

JASIEK.

Śpij z Bogiem, synku.

(Walek ukazuje się w oknie.)

WALEK.

Pssst... pssst...

GRZEGORZYK.

Tatulu, ktoś stoi w oknie.

JASIEK.

Kto tam?

WALEK.

Wuju... to ja...

JASIEK.

Ty, Walek? Czego tu chcesz?

WALEK.

Ciotki w chałupie niema?

JASIEK.

Poszła szkapy napoić, ale zaraz przyjdzie.

WALEK.

To dobrze. Widziałem też, że ktoś do stajni wchodził.

JASIEK.

Czego ty tu chcesz?

WALEK.

Eh, nic. Jeno wyszczerbiła się nam siekiera. Pożyciecie nam swojej. Zaraz wam odniosę.

JASIEK.

Kiedy się ciotka będzie gniewać.

WALEK.

O, to jej nie mówcie!

JASIEK.

Ona zaraz zmiarkuje.

WALEK.

Narąbię za was drew.

JASIEK.

To rąb, jeno nie powiadaj, że siekierę weźmiesz. Odniesiesz jutro. Stary nie przyszedł narąbać, sam musiałem ciąć, aż mnie krzyże bołą.

WALEK.

Podajcie mi siekierę przez okno.

JASIEK.

Oooaaah... Weź sobie sam... Co ci będę podawał!

WALEK.

Kiedy się boję ciotki.

JASIEK.

Szkapiska poi, nie przyjdzie zaraz.

WALEK.

Ta ruszcie się trochę, nie umrzecie od tego. Siekiera obok was leży.

JASIEK.

Okrutnie mi się nie chce. (Sięga i powoli podaje.)

WALEK.

No widzicie, nie umarliście. Bóg wam zapłać.

JASIEK.

Jeno teraz narąb.

WALEK.

Narąbię. — Wuju, wiecie wy co?

JASIEK.

Co?

WALEK.

Czy wy sypiacie w domu?

JASIEK.

A gdzie mam sypiać?

WALEK.

Czy Kubrak was często odwiedza?

JASIEK.

Co ci do Kubraka?

WALEK.

On wieczorami do was przychodzi.

JASIEK.

Aboś to go widział?

WALEK.

Zróbcie mu tak. Jak dziś przyjdzie, to cichusieńko zamknijcie okno i podeprzyjcie a sami przy drzwiach stańcie, to go złapiecie! (Zachichotał i znikł. Po chwili słychać rąbanie drzewa.)

JASIEK.

Co ty Walek gadasz! Ty gałganie, ja ci tu dam! Zawsze pleciesz sam nie wiesz co! Kości tobie połamie! Będiesz mi tu na ciotkę swoją wygadywał?! Oooaah! Żeby mi się tak spać nie chciało, dałbym ja ci! (Pauza.)

GRZEGORZYK.

Tatulu...

JASIEK.

Co?

GRZEGORZYK.

Walek mówił, co Kubrak przychodzi?

JASIEK.

Plół, sam nie wiedział co!

GRZEGORZYK.

A przychodzi, tatulu... Zawsze puka do okna.

JASIEK.

Co ty gadasz?

GRZEGORZYK.

A matka oknem wychodzi.

JASIEK (zrywa się).

Kiedyś to widział?

GRZEGORZYK.

To tatulo nie słyszeli? Tatulo pewnie śpią. Ja śpię też, ale jak on pod oknem cichusieńko zaśpiewa, to się budzę. Tak ci ładnie śpiewa!

JASIEK.

Ile razy słyszałeś, że podchodził i śpiewał?

GRZEGORZYK.

Uo, abo ja wiem! Cięgiem. Lubię jak on tak nocką śpiewa, bo mi się potem śni ładnie.

JASIEK.

Cicho!... Głupi jesteś!... Śpij... (Pociera czoło.)
Kubrak... Kubrak... To też mi się czasem...

GRZEGORZYK.

Dobranoc, tatulu...

JASIEK.

Dobranoc. (Wchodzi Katarzyna.)

KATARZYNA (staje zdziwiona).

Jasiek, nie śpisz jeszcze?

JASIEK.

Odechciało mi się spać.

KATARZYNA.

Możesz chory? (Nasłuchuje.) Kto to drwa rąbie?

JASIEK.

Nikt nie rąbie.

KATARZYNA.

Myślisz, żeś głucha? Gadaj zaraz!

GRZEGORZYK.

To Walek, matulu. Tatko mu dali siekiere.

KATARZYNA.

Jasiek, czemu zełgałeś?

JASIEK.

Bo mi się tak podobało. (Nie patrzy na nią.) To jeszcze nie największe oszukiwanie.

KATARZYNA.

Jasiek, popatrz na mnie! (Jasiek nie patrzy.) Ty mi już gębę otwierasz, co?

JASIEK.

Otworzę ją lepiej.

KATARZYNA.

Widzicie mi go! Pamiętaj, gdzie i u kogo jesteś! Nędzarzem byłeś, mnie wszystko zawdzięczasz!

JASIEK.

Miałem swego dosyć.

KATARZYNA.

A ileś swego miał! Marne kilka tysięcy! Kup za nie takie gospodarstwo! Eh, ty głupi, głupi! Idź mi zaraz do Walka, odbierz mu siekiere i wypędź go z podwórka.

JASIEK.

Ruszaj sama, jak chcesz. Przecie mówisz, że to wszystko twoje!

KATARZYNA.

Jasiek... Tobie naprawdę coś jest!

JASIEK.

Czy mam już iść spać?

KATARZYNA (patrzy na niego, potem na syna).

Grzegorzyc! Co tu ojciec z Walkiem gadali?

JASIEK.

Grzegorzyc, masz spać!

KATARZYNA.

Ty mi się, Jasiek, nie stawiaj, bo cię z chałupy napędzę! Widzicie mi go! Grzegorzyc, gadaj, bo cię kijem przejadę!

JASIEK.

Grzegorzyc, leż cicho, bo ci kości połamię!

KATARZYNA (ruszając na męża).

Ja ci...

JASIEK.

Precz od dziecka! (Spogląda na nią groźnie,

podnosi pięść, następnie bierze Grzegorzka na ręce i wychodzi z nim na strych.) Pójdziem spać, Grzegorzku, kiedy nam tu matka nie daje. (Pauza.)

KATARZYNA (sama).

Co mu się stało?... (woła) Jasiu! (do siebie.) Czyżby ludzkie języki?... Pójdę do niego na strych. (Słychać w oknie chichot, Katarzyna się ogląda.) Cóż to za chichot, jakby djabeł się roześmiał!

WALEK (w oknie).

Dobranoc, ciotka, dobranoc... Chi, chi, chi... chi...

KATARZYNA.

Walek!

WALEK.

Dobranoc... Chi, chi, chi, chi... A nie krzyczcie za głośno przez sen, jakby wam w chałupie za gorąco było! (Znika.)

KATARZYNA.

Walek, czekaj no! (Biegnie ku drzwiom, spotyka się z wchodzącym Skibą i cofa się o krok zdumiona.)

SKIBA.

Bóg z tobą, córko. Widzisz, przyszedłem.

KATARZYNA (na stronie).

Czy ich wszystkich! (Ponuro do Skiby.) Czego chcecie?

SKIBA (nie wie jak zacząć).

Bo widzisz... niby ja ojciec... a ty córka... to myślę sobie... jeszcze raz spróbuję pogadać... do sumienia przemówić! (Wybuca płaczem.)

KATARZYNA.

Co wy wyrabiacie!

SKIBA.

Kasiu... Kasiu... Kasiu! Kasiniu, Kasieczko! Żebyś ty wiedziała, jak ja cię kochałem, jak nieboszczka cię kochała! Kiedy nieboszczka umierała, to ciągle mi mówiła o tobie, żebym nad tobą dozór miał a strzegł jak oka w głowie... Kasiu, pamiętasz? Eh, co ty możesz pamiętać! Jakaśmy to ciebie na rękach nosili, kiedyś była taka malusia... a usypiali a kołysali... Żebyś ty to wszystko wiedziała!

KATARZYNA.

Każdy ojciec robi to samo i każda matka.

SKIBA.

Ale nie z każdą córką tak... Nie, nie, nie... Nie-raz jakaś nam trochę zaniemogła, tośmy całej nocy nie spali, jeno w głowy zachodzili, jakby ci to pomóc, wszystkie sąsiadki wzywali... Żebyś ty to wszystko wiedziała, Kasiu, Kasiu!

KATARZYNA.

Poco wy mi to wszystko mówicie?

SKIBA.

Poco, Kasiu? Wiesz, jak ja sobie to przypominam, nieboszczkę noszącą ciebie, ciebie taką malusią, to tak mi się tkliwo na sercu robi, tak łzawo... wrogowi bym wszystko darował!... Myślę tedy sobie, może to i ciebie trochę poruży, może i tobie to miłe będzie, może łza się pokaże w twojem oku na wspomnienie, jak cię to nieboszczka tuliła, jak ja ciebie na tych rękach nosiłem.

KATARZYNA.

Wy myślicie, ojciec, że ja taka kobieta, jak inne. O nie! Łzami ze mną nie wskóracie! Trzeba mi było dać innego męża a nie takiego niedołęęę, tobym może była na takie rzeczy tkliwa. Ale ja nie mam czasu na płkanie. Tu trzeba mieć rozum za siebie i za chłopą, tu trzeba pracować za dwóch. A coby z nas było, gdybym ja była inna? I za was też trzeba mieć rozum, kiedyście go zatracili i nas wszystkich zgubić chcecie.

SKIBA.

Córko, ja, ja, ja was zgubić?

KATARZYNA.

Abo to nie? Familię na nas podmawiacie, wszystkich na nas buntujecie, spokoju nie mamy, jeno teraz wszyscy bokiem na nas patrzą. Czy to kochający ojciec podmawia familię przeciw córce, co?

SKIBA.

Ty to nazywasz podmawianiem, córko?

KATARZYNA.

A cóż to innego? Przecież zbieracie się i nas sądzicie.

SKIBA.

Jak familia osądzi to niema już rady, jeno tak być musi, jak familia chce. Ale ja ojciec. Raz jeszcze przychodzę. Mnie to wolno. Raz jeszcze przychodzę i widzisz... zapłakało się... Przychodzę jako ojciec, tylko ojciec, nie więcej... I przychodzę do ciebie, Kasiu, jako do swojego dziecka, swojej córki... Kasiu, rozważ sobie dobrze, tak albo owak... Jeszcze czas... Jeszcze sobie rozważ... Ty chyba nie pokrzywdzisz

tak starego ojca, żeby miał na stare lata z torbami iść między ludzi... Czy ci ojca nie żal? Starego ojca? Kasiu... Te ręce ciebie nosiły... Rozważ jeno... Na święte cienie matki nieboszczki wzywam cię, Kasiu, upamiętaj się a krzywdę napraw! Na święte cienie matki, kobieto!

KATARZYNA.

Mówcie, czego żądacie...

SKIBA.

Pogodzimy się... Oddacie mi chałupę... Gruntu tylko połowę... Połowę, Kasiu, czy słyszysz?... Już wam jedną połowę daruję... Tylko żeby nie było pośmiewiska ludzkiego... och, tego okropnego pośmiewiska...

KATARZYNA.

Ojciec...

SKIBA.

Na święte cienie matki! Ty mnie wysłuchasz, ty dobra, ty kochana, Kasiu, Kasieczko, dziecię moje najmilsze!

KATARZYNA.

Ja was ojciec zawsze szanowałam, tylkoście twardzi.

SKIBA.

To ty, córuś, to ty, nie ja... Widzisz, ludzie na ciebie wygadywali, ja im gęby zamykałam, ja nie dawałam wiary temu gadaniu! Mówili, żeś ty nieuczciwa! Ja cię broniłam, córuś! Ty nie możesz być nieuczciwą, ty, córka mojej gołąbki jedynej, biednej,

nieżyjącej! Wadziliśmy się trochę o majątność, ale się teraz pogodzimy.

KATARZYNA.

Kto ojcu na mnie wygadywał?

SKIBA.

Kto? Niejeden! Mówili, że Kubrak do ciebie nocami... tfu... Pięściami im groziłem! Milkli, bo się mojego gniewu bali. Tybyś miała być taka? Cha, cha, cha, cha!

KATARZYNA.

Toście dobrze robili.

SKIBA.

Ja zawsze dobrze robiłem a dla ciebie najlepiej! Boś ty mi najdroższe dziecię, Kasiu!

KATARZYNA.

Ja was szanuję, ojciec, ale gruntu wam oddać nie mogę.

SKIBA.

A to czemu, córko? A to czemu? Czy mi się to nie należy? Czy to nie moje?

KATARZYNA.

Co teraz wasze! Nic nie jest wasze! A ja z takim mężem do niczego nie dojdę i sama po żebrach iść bym musiała. Wy sami a ja mam Grzegorzyska. Chałupy wam nie odstąpię, nie żądajcie tego odemnie. Mogę was szanować, mogę was i miłować, boście ojciec i zakłęście się na cienie matki. Ale co do tego, to nie mogę.

SKIBA (w furii).

Kaśka! (łagodnie) Kasiniu!

KATARZYNA.

Za to, żeście mnie przed obmową ludzką bronili,
to i ja was więcej pomstować nie będę.

SKIBA (gwałtownie).

To wszystko?... Kaśka, czy ty chcesz, żebym...
(Sunie do niej.)

KATARZYNA.

Stójcie zdaleka, ojciec... Ja uległa, ale nie na
długo.

SKIBA.

Gdzie Jasiak? Ja z nim chcę pogadać!

KATARZYNA.

Jasiak śpi i wam z nim nie gadać.

SKIBA.

Ja muszę z nim pogadać!

KATARZYNA.

Teraz choćby się paliło, to się nie zbudzi!

SKIBA.

Ej, Kaśka, ty mi tak nie gadaj! Ej, mówię ci,
żeby się jeszcze tej nocy nie zbudził! Ty, ty, ty, ty,
wyrodna córko, gałganico, ty potworze!

KATARZYNA.

Nie wam odpowiadać nie będę.

SKIBA.

A gdzie przynajmniej Grzegorzyc?

(Słychać ujadanie psa.)

KATARZYNA.

Co wam do niego!

SKIBA.

Kaśka, niech on ze mną pójdzie na noc... Wiesz, Zośka to czasem u mnie zanočuje a wnuka tego to jakbym wcale nie miał!

KATARZYNA.

Jak zresztą wolicie. Możecie go sobie zabrać. Broniliście mnie przed obmową ludzką, to go wam czasem przyślę.

SKIBA.

Daj mi go, daj!

KATARZYNA.

Śpi z Jaśkiem na strychu.

SKIBA.

Przynieś go...

KATARZYNA.

Czekajcie. (Idzie w kierunku strychu, ale na schodach zatrzymuje się.) Nie, ojciec, dziś nie. Jutro przyślę go wam rano.

SKIBA.

Dziś, dziś, dziś!

KATARZYNA.

Dziś go wam nie dam.

SKIBA.

Dlaczego? (Katarzyna milczy.) Kasiu... (tkliwie.) Daj mi go dziś, daj, daj... (Milknie wskutek silnego ujadania psa i nasłuchuje. Za oknem odzywa się cichy śpiew Kubraka.)

GŁOS KUBRAKA.

Ej Kasiniu, Jaś już śpi... Ej Kasiniu, ej Kasiniu, pójdz pod okno, otwórz mi... Ej Kasiniu, ej Kasiniu, otwórz mi...

SKIBA.

Kaśka, co to znaczy?! (Katarzyna stoi przez chwilkę oszołomiona, potem chce biedz do drzwi, lecz Skiba chwyta ją za rękę.) Kto tam śpiewa? Kto? Komu masz okno otworzyć? Ty, ty, gadaj, ty, ty!

KATARZYNA.

Puszczajcie mnie, ojciec!

SKIBA.

Ojciec cię nie puści, bo tu teraz ojciec jest pierwszy, nie kto inny! Kubrak tam? Co? Gach? Co? Tfu, ty moja córka? Tfu! (Plwa na nią.)

KATARZYNA.

Ojciec, ojciec!

SKIBA.

Wstyd na moje siwe włosy? Co? Tfu, jakie ja błoto, matko, z tobą na ten świat wydałem! (Obala ją i kopie.) Tfu, tfu!

KATARZYNA.

Ojciec... co wy robicie... ojciec!

SKIBA.

O Chryste, bij piorunami w moją starą głowę, bij, bij, bij!

KATARZYNA.

Jasiek!... Jasiek!!!... (Pasuje się z ojcem.) Ratuje, Jasiek... Kubrak!

SKIBA.

Przecież Jasiak śpi! (Z szyderstwem.) Sama mówiłaś! A Kubraka ja sam dołapię! Uduszę! Nie łap za ręce... I ciebie uduszę własnymi temi rękami, które cię niańczyły! Ha! (Katarzyna wyrwa mu się, odtrąca go, że aż się w tył zatacza a sama ucieka za stół.)

KATARZYNA.

Precz, wynoście mi się z mojego progu! Precz, stary, stary! Co wy mi tu będziecie! Bo za ławę uchwycę i na was pójde! Precz, precz, precz!

SKIBA.

Uciekłaś?... Nie uciekniesz!... Cha, cha, cha, cha! To może i Grzegorzyc nie Jaśków??!? Gadaj no prawdę! Trzeba mi całą prawdę wiedzieć!

KATARZYNA.

Kubrak, chodź tu!

SKIBA.

Gacha na ojca wzywasz?

KATARZYNA.

Udusić mnie chcieliście!

SKIBA.

Bij, bij piorunami, Boże wiekuisty! Bij, bij w to podłe gniazdo! Odbierz światło oczom starego nieszczęśnika, który był ich ojcem! Bij, bij, sam cię proszę o to, nim moje ręce na ten dom położę!... Przekleństwo ci, córko wyrodna! I tobie i twemu mężowi i twemu potomstwu! Giń, przepadnij, niech cię moje oczy nie oglądają, niech ten dom zamieni się tobie w grób, przekłeta, wiarałomna żono i córko-krzywdzi-

cielko! Bij, Boże, bij w ten dom i w moją starą głowę! (Wybiega. Katarzyna stoi przez moment jak rażona. Ujadanie psa nie milknie. Kubrak ukazuje się w oknie.)

KUBRAK.

Kasiu...

KATARZYNA.

Co?... Co?... To ty?

KUBRAK.

Co się staremu stało?

KATARZYNA.

Nie...

KUBRAK.

Aż mi zimno po kościach szło, jak cię przeklinał.

KATARZYNA.

Tak... przeklinał... prawda.

KUBRAK.

Okrutnie się teraz zawziął. To źle jak ojciec przeklina.

KATARZYNA.

Co źle?

KUBRAK.

Czy Jasiak śpi?

KATARZYNA.

Śpi na górze z Grzegorzkiem.

KUBRAK.

To wleżę przez okno, bo dygocę cały.

KATARZYNA.

Jak ten pies szczeka!

KUBRAK.

Zaraz przestanę, gdy wejdziesz do ciebie. (Wchodzi przez okno. Po chwili ujadanie milknie.)

KATARZYNA.

Cicho bądź... Słyszę głos ojca...

KUBRAK.

Ale co! Nie nie słyszysz!... Cicho dokoła jak matką zasiał. Nawet chrapania Jaśka nie słyszą.

KATARZYNA.

Śpi na strychu.

KUBRAK.

To przynajmniej choć trochę dba o nas...

KATARZYNA.

Cicho no, cicho...

KUBRAK.

Dlaczego?

KATARZYNA.

Ja ciągle coś słyszę...

KUBRAK (nucając).

Słyszysz Kasineczko, słyszysz Kasineczko jak mi serce bije... Oj bo bije krwią czerwoną, oj bo bije... Bo bez ciebie twój chłopczyzna nie pożyje, nie pożyje!

KATARZYNA.

Boję się, że się coś stanie.

KUBRAK (nucąc).

Oj nie bój się Kasineczko, oj nie bój się... Wietrzyk wieje, miesiąc błyska, oj nie bój się Kasineczko, ja tu zbliżka!

(Siadają.)

KATARZYNA.

Ty jeno ciągle śpiewasz... a ja dziś nie do śpiewu... Zimno po mnie przechodzi... Jeszcze stary nigdy taki nie był!... Ażem się go przelękała... Nigdy się nikogo nie zlekła, nigdy się niczego nie bała... Ale on taki był straszny... Dziś nie chciałabym sama spać... Przyśniłoby mi się coś niedobrego...

KUBRAK (nucąc).

Nie śpij sama, Kasineczku, nie śpij sama... Oprzyj głowę na mej piersi, tu na piersi, śpij przy twoim kochanecku! (Katarzyna pochyla się na jego ramię, on obejmuje ją jedną ręką, drugą zakrywa jej głowę.)

(Jasiek schodzi ostrożnie ze strychu, wyłazi przez okno i zamyka je za sobą przywierając okiennicę.)

KUBRAK (nucąc dalej).

Nie śpij sama, Kasineczko, nie śpij Kasiu w nocną ciszę... Tu, Kasiniu, tu na piersi, tu na piersi sen kołysz, sen kołysz...

KATARZYNA.

Ktoś idzie... cicho... słyszałam szelest... (Kubrak śpiewa dalej.) Zimno mi! (Wstrząsa się.) Mówił o nieboszczce... Przed nocą źle o nieboszczykach mówić... Mogą przyjść przed łóżko i pokazać się... A gdyby się dziś co pokazało... Uściśnij mnie, bo mi strach...

KUBRAK (nucać).

Uścisknę cię, Kasineczko, uścisknę cię nie raz, nie dwa... Bo mi z tobą jest tu dobrze, choć ściskałim cię tu we dwa... Oj, tak, we dwa... Sam cię teraz będę ściskać, Kasineczko, ach kochanie, przez noc ciemną, przez noc długą po zaranie, po zaranie...

KATARZYNA (oglądając się).

Kto okno zamknął? Było otwarte, ty za sobą nie zamknąłeś? Kto je zamknął?

(Jasiek ukazuje się na progu z drągiem w ręku.)

JASIEK.

Ja zamknąłem. (Rygluje za sobą drzwi.)

KATARZYNA.

Skąd ty tu?? (Odskakuje od Kubraka.)

JASIEK.

Zaraz się dowiesz. (Postępuje naprzód.) Przyszedłem popatrzeć, kto tu jest. Ah, Kubrak? Dobry wieczór! To dobrze, że was tu teraz razem mam. Widzicie, jakoś mnie spanie odeszło. Nie daliście mi spać. Ty tak ciągle śpiewasz, Kubrak!

KATARZYNA.

Jasiek, postaw drąg!

(Kubrak sunie ku drzwiom.)

JASIEK.

Wara! (Zastawia mu drogę drągiem.). Przyszedłem trochę twojego śpiewania posłuchać a ty się zabierasz. Tak nie można.

KATARZYNA.

Ty takim głosem nie mów, Jasiek, bo ci źle z oczu patrzy!

JASIEK.

A jak mi ma patrzyć? Jak ma patrzyć z oczu takimu głuptasowi, takiemu śpiochowi jak ja? Nie dajcie mi zresztą spać... Teraz musicie mi śpiewać, albo oboje razem, albo po kolei, jak wolicie.

KUBRAK.

Czego chcesz, Jasiu, odemnie? Na siłę się ze mną nie mierz, bo źle na tem wyjdiesz. Lepiej mi drzwi odrygluj.

JASIEK.

Muszę ci ja się o to postarać, abyście mi zaśpiewawszy trochę, potem umilkli, bym mógł długo spać i abyście więcej snu mi nie przerywali takim śpiewaniem. Kaśka, przeżegnaj się, tobie śmierć!

KATARZYNA.

Czego ty chcesz? Co ty chcesz uczynić?

JASIEK.

Tobie śmierć!

KATARZYNA.

Kubrak, pomagaj, on mnie chce zabić!

KUBRAK.

Idź ty od niej, Jasiu, słyszysz! (Dobywa noża.)

JASIEK.

Do noża się bierzesz? Czekał ty uwodzicielu cudzych żon, ty co na cudzem się odpasasz! Ja ci ten żarłoczny twój łeb tym drągiem zgruchotam! Odstąp od niej!

KUBRAK.

Ty wiesz, Jasiek, co znaczy nóż w moim ręku!
Ty drąg postaw, ej!

JASIEK.

Widzisz, złem pomyślał. Jaki ja głupi! Dobrzeście mieli mawiając: głupi Jasiek! Teraz nauczyliście mnie rozumu. Widzisz, Kubrak, najpierw tobie śmierć! (Zamierza się drągiem.)

KUBRAK (cofając się).

Jasiek na Boga miłosiernego, czekaj...

JASIEK.

Śmierć tobie!

(Katarzyna zabiega i podbija Jaškowi nogę, ten się przewraca na wznak.)

KATARZYNA (do Kubraka).

Bij!

(Kubrak rzuca się błyskawicznie na Jaška i wbija mu nóż w pierś.)

KUBRAK.

Masz... Masz raz jeszcze...

JASIEK.

Aaaah... Coś ty zrobił... Aaaah!

KATARZYNA (do Kubraka).

Odstąp... (Kubrak cofa się.)

JASIEK.

Ciemno mi w oczach... Chryste Jezu... Jezu...
Ah! (Umiera.)

KUBRAK (upuszczając nóż).

Kaśka... co to jest?

KATARZYNA (nachylając się nad trupem).

Jasiek... Jasiek... Tobie nic, nic... Przyjdź no do siebie... Jasiek! (Cofa się ze wstrętem.) Oczy w słupek... Co to się zrobiło... Kubrak!

KUBRAK.

Na rękach krew... Krew... I na rękawach też... Kasiu... On...

KATARZYNA (kończąc).

...nie żyje. (Odechodzi, siada i patrzy.) Dziwnie tak go widzieć...

KUBRAK.

Co??

KATARZYNA.

Trzeba teraz pomyśleć...

KUBRAK.

Nad czym?

KATARZYNA.

Nad tem! (Wskazuje trupa. Chwila milczenia.) Trup w domu. Kubrak, rozumiesz? Trup w domu... Odrygluj drzwi... Kubek z wodą stoi... Trzeba, żebyś ręce umył... (Kubrak patrzy na swe ręce.) Wywlec go musimy i gdzie zakopać... W stajni... Nie... Konie będą chrapały... Pod stodółką... Czegoż stoisz i medytujesz?

KUBRAK.

Kaśka... (chwieje się.) Mnie słabo...

KATARZYNA.

Teraz ci słabo a przedtem toś mocno uderzał!

KUBRAK.

Ja nie wiem jak się to stało!

KATARZYNA.

Głupiś... Ale sąd będzie wiedział!

KUBRAK (zadygotał).

Sąd?! Ach!

KATARZYNA.

Więc mówię, że trzeba go wywlec i tymczasem gdziekolwiek zakopać.

KUBRAK (siadając).

Rób... ja nie mogę...

KATARZYNA.

Niedołęga jesteś! (Rusza ku drzwiom i odsuwa rygiel.) Śpiewać toś umiał... Cha, cha, cha! Widzisz, jacy wy to jesteście! Jeden całe życie śpi, drugi całe życie śpiewa... A jak przyjdzie co do czego... (Próbuje drzwi otworzyć, pcha silnie.) Co tam, u Boga Ojca! Czy kto zastawił, czy co?! (Pcha znowu.) Co to? (Odskakuje od drzwi z zabobonnym przestracchem.) Kubrak... Tam ktoś stoi za drzwiami... Stary gadał o nieboszczykach a teraz jeden tu leży... Kubrak! (Z okropnym przestracchem.) Mnie czerwono przed oczami!

KUBRAK.

I mnie czerwono... Jakby to wszystko, na co patrzę, było czerwone... Wygadywałaś na nas, że my tacy... Sama jaka jesteś?...

(Słychać u góry jękliwy płacz.)

KATARZYNA.

Słyszysz??

KUBRAK.

Święci pańscy! (Nasłuchuje drżąc.)

KATARZYNA.

Co to być może?

KUBRAK.

Czerwono mi naokoło...

KATARZYNA.

Tu ktoś do nas idzie... Słyszysz?

KUBRAK.

Sunie po eichu...

(Grzegorzyc schodzi na dół.)

GRZEGORZYK.

Ojej, matulu, ojej, ojej!

KUBRAK.

To Grzegorzyc.

GRZEGORZYK.

Ojej, matulu, ojej, wy nic nie słyszycie, ojej, ojej...

Buzuje się chałupa... Na górze pełno dymu!

KATARZYNA (zabiegając mu drogę).

Nie chodź tu... Wracaj na strych!

GRZEGORZYK.

Kiedy tam już pełno dymu... Ojej, buzuje się, buzuje!

KATARZYNA.

Gdzie się buzuje? Co ty powiadasz? Chodź ze mną na strych! (Nasłuchuje chwilę. Bije blask.) Kubrak, pali się! (Kubrak się zrywa.)

KUBRAK.

Rety la Boga, doprawdy!

KATARZYNA.

Drzwi podparte... Co to jest? (Idzie do okna i próbuje otworzyć.) I okna otworzyć nie można... Chyba podparte...

GRZEGORZYK.

Och!... Toć tu tatulo leżą! (Katarzyna i Kubrak stają jak wryci i patrzą na siebie.) Tatulu, co wam?... Ojej, jej, jej, jej, jej... Krew, krew... Tatulu, tatulu...

KATARZYNA.

Kubrak! (Słysząc dudnienie płomieni.) Ależ cała chałupa w ogniu! Trzeba wybić albo okno albo drzwi!

KUBRAK.

Gdzie siekiera?

KATARZYNA.

Siekiera? Był tu Walek... Oni nas podpalili!!

KUBRAK.

Kto??

KUBRAK.

Bierz drąg i wal! (Kubrak drąg podnosi i sunie ku drzwiom.)

GRZEGORZYK.

Tatulu, tatulu! (Rzuca się z płaczem na zwłoki.)

KATARZYNA (powstrzymuje Kubraka).

Czekaj... Jakże wywalisz drzwi, kiedy tu trup...

KUBRAK (upuszcza drąg).

Nie można... nie można...

KATARZYNA.

Trzeba go wywlec na strych...

KUBRAK.

Pomóż...

GRZEGORZYK (jęcząc nad trupem).

Oj, tatulu, co oni wam zrobili, tatulu...

KUBRAK (staje bezradnie).

Dziecko widzi — na nie!

KATARZYNA.

Ha, zapomnieliśmy o dziecku...

KUBRAK (zataczając się ku ścianie).

Co robić? Co robić? Co robić?

(Katarzyna walczy chwilę z sobą, wreszcie odwraca się bokiem ku ścianie, opiera się jednym ramieniem i patrzy na Kubraka.)

KATARZYNA.

Dudni dokoła... dudni... ze wszystkich stron... bije gorąco... Kubrak... To chyba przyszedł na nas... No, zaśpiewaj co... zaśpiewaj!...

Koniec aktu trzeciego.

AKT IV.

*(Noc. Po prawej kilka chałup, po lewej za sceną pożar. Bije luna.
Na progach chałup kobiety i dzieci. Tłum uwoja się po scenie.)*

TŁUM.

Wody! Wody! Wody!

KOBIETY.

O Jezu, Jezu, Jezu, Jezusie, ratuj, ratuj!

CHŁOP 1.

Chłopcy, bierzta siekiery! Rąbać, co się da! Tu
najpierw trzeba rąbać!

TŁUM.

Rąbać, rąbać, rąbać!

CHŁOP 2.

Kiedy nie mamy siekier!

CHŁOP 1.

To lecieć po nie duchem!

TŁUM.

Siekier, siekier, siekier, siekier! (Kilku odbiega.)

CHŁOP 1.

Chwytajcie tymczasem za byle co, drągi, nie drągi, trzeba drzwi wywalić! Dalej, chłopcy za mną!
(Biegnie do pożaru.)

KILKU PAROBKÓW.

Dalej, dalej, do roboty! (Wybiegają.)

KOBIETY.

O Jezu, Jezu! Chłopy, ratujta! Cała wieś pójdzie!
O Jezu, Jezu! (Lament.)

CHŁOP 2.

Cicho baby! Tu lament nic nie pomoże! Lećcie lepiej po kubelki!

TŁUM.

Po kubelki! Po kubelki! (Część kobiet i chłopów odbiega.)

KOBIETA 1.

Podobno w chałupie ludzie są!

KOBIETA 2.

A są, są, są!

KILKA KOBIET.

Co takiego? Co? Co?

INNE KOBIETY.

Ludzie w chałupie! Ludzie się palą!

TŁUM.

Ojej, jej! Ludzie się palą!

CHŁOP 1. (wbiegając).

Parzy zbliśka. Podejść nie można!
(Nadbiegają parobki i kobiety z kubelkami.)

TŁUM.

Woda jest, woda! Lać wodę, lać wodę!

CHŁOP 1.

Za mną z kubełkami! (Wybiega, inni za nim.)

KOBIETA 1.

A niech kto poleci do starego Skiby! Córka mu się pali! Niech kto poleci, ludzie, bójcie się Boga! Stoicie z założonemi rękami! O, jaki to naród!

KOBIETA 2.

Do Mikołajów możnaby także polecieć a i Kubie dać znać. Niechby choć przyszli.

KOBIETA 1.

Chłopaki, dać znać rodzinie, lecieć żwawo! My od chałup odejść nie możemy! (Kilku młodszych parobczaków odbiega.)

CHŁOP 1. (wpada).

Ludzie! Okno było podparte! Tu ktoś podpalił!

TŁUM.

Okno podparte? Podparte? Podpalone! Podpalone!

CHŁOP 2.

Czy i drzwi były podparte?

CHŁOP 1.

Kiedy nie można było podejść. Ale jak okno podparte, to pewnie i drzwi. Za mną jeszcze raz! (Wybiega.)

KOBIETY.

Jezu, Jezu! A to zbóje! Podpalone, podpalone!

KOBIETA 1.

Wszystkich was na świadków! Wszystkich! To tak nie może być!

KOBIETA 2.

Wszyscy będziemy świadcy!

TŁUM.

Podpalone! Wszystkich na świadków! Podpalone!

CHŁOP 2.

Stary Skiba idzie! Usuńcie się!

TŁUM.

Skiba, Skiba! Stary Skiba! Z drogi! Skiba idzie!

KOBIETA 1.

Skiba, córka się wam pali! Ojej, jej, jej!

KOBIETA 2.

Dostąpić do chałupy nie można!

(Skiba wchodzi.)

KOBIETA 1.

Jezu, Jezu! Patrzcie, Skiba! Powiadają, że okno podparte!

KOBIETA 2.

I drzwi podparte!

KOBIETA 1.

Co do drzwi to niewiadomo. Ale okno podparte.

KOBIETA 2.

Jak okno to pewnie i drzwi.

KOBIETA 1.

Ktoś podpalił wam córkę i zięcia! Podpalił! Widzicie jaki to niegodziwy naród!

SKIBA.

Chryste! (Staje i patrzy w ogień.)

MIKOŁAJ (ukazuje się z lewej i woła za scenę).

Walek! Szkapę zaprowadź do naszej stajni.

CHŁOP 2.

Oho, już szkapę do swojej stajni odprowadza.

KOBIETA 1.

Co ma z niemi robić! Czy mają na polu stać? Jeszcze kto po nocy ukradnie! O ludzie, ludzie! Jak podpalił, to i okraść mogą!

KOBIETA 2.

Swoi nie ratują!

KILKA KOBIET.

Swoi nie ratują! Swoi nie ratują!

CHŁOP 2.

Jeden tylko Mikołaj i to odprowadza konie do siebie na podwórko.

MIKOŁAJ (do Skiby).

Ojciec, pomagajcie...

SKIBA.

Co?...

MIKOŁAJ.

Pomagajcie, ojciec, bo ludzie będą wygadywali. (Odbiega.)

SKIBA.

Co ludzie?

KOBIETA 1.

Stary Skiba całkiem rozum stracił!

KOBIETA 2.

Nie dziwota, moiściewy, nie dziwota!

CHŁOP 1. (wpada).

Krzyk było słychać z chałupy!

TŁUM.

O Jezu, Jezu, Jezu!

KOBIETY.

Lećcie, ratujcie, odbijajcie!

CHŁOP 1.

Na bok, na bok! Kozły trzeszczą! Za chwilę się zwali!

TŁUM.

Na bok! Odstąpić! Odstąpić!

(Słychać trzask walącego się domu, łuna żywiej bije, tłum wydaje okrzyk zgrozy. Skiba klęka i zaczyna się modlić.)

KOBIETA 1.

Już po wszystkim!

CHŁOP 1.

Chłopy, teraz za osęki i rozwalać! Nie tracić czasu, bo jeszcze gdzie iskra padnie i zapali!

CHŁOP 2.

Lećcie, może nieboszczyków wydostaniecie!
(Odbiegają.)

KOBIETA 1.

Żeby ten z piekła nie wyrzął, co to zrobił!

KOBIETA 2.

Ale dlaczego z rodziny nikt nie ratuje?

CHŁOP 3.

Oni z familią źle żyli.

KOBIETA 2.

A ja wam powiadam, że ktoś ze swoich w tem rękę umaczał! No, no, wspomnicie moje słowa!

CHŁOP 3.

Nie darmo to okno było podparte!

KOBIETA 2.

I drzwi!

KOBIETA 1.

Tylko okno. Nie dodawajcie!

KOBIETA 2.

Wszystko jedno. Jak podparte, to podparte! Oho, wszyscy wiedzą, że się między sobą o grunt i chałupę kłócili! Przecie to wszyscy wiedzą!

KILKA KOBIET (szepcem).

To swoi podpalili, na pewno swoi, któżby inny!

TŁUM.

Swoi, swoi, swoi, swoi... (Szept idzie coraz dalej.)

CHŁOP 3.

Cichoście, stary Skiba się modli.

KOBIETA 2.

Teraz to się modli... aha!

KOBIETA 1.

Mój ty Boże! I to taki Skiba, taki poczciwy, taki siwy, jej, jej, jej! (Rozlega się krzyk za sceną.) Co to? Ludzie, słyszycie?

GŁOS Z ZA SCENY.

Trupa odgrzebali!

TŁUM.

Trupa!... Trupa odgrzebali!... Chodźcie, chodźcie!
(Wszyscy wybiegają. Słychać za sceną gwar i krzyki.)

ZOSIA (wbiegając).

Dziadek? Dziadek, gdzie wy? Ach, dziadku!
(Kłęką przy nim i płacze.)

SKIBA.

Módl się, Zosieczko!

ZOSIA.

Oj dziadziu, dziadziu, dziadziu, dziadziu...

GŁOS Z ZA SCENY.

Drugi trup. (Krzyki.)

SKIBA.

Boże... Ty zesłałeś ogień na Sodomę... Ty spuściłeś karę na winowajców... Ty wszystko widzisz i sądzisz!... Boże, Boże... Spójrz z góry...

ZOSIA.

Dziadziu, ja się modlić nie mogę, nie mogę, nie mogę... Mnie płacz za gardło dusi... Ja się duszę, dziadziu... Pomóż mi, pomóż... Dziadziu, dziadziu...

SKIBA.

Cicho... Módl się jak możesz... Módl się, módl...
Wołaj: Boże! (Zosia jęczy.)

GŁOS Z ZA SCENY.

Trup dziecka! (Okrzyk zgrozy.)

SKIBA.

Grzegorzyc!... Ach!... Chryste Panie!...

ZOSIA.

Dziadziu, ja pójdę skoczyć w ogień... Może mi
lżej będzie...

(Wchodzi chłop 1. na czele innych.)

CHŁOP 1.

Chodźcie, stary Skiba, popatrzeć na ciała córki,
zięcia i wnuka.

CHŁOPI.

Chodźcie, Skiba, chodźcie!

CHŁOP 1.

Kiedy się tak stało, że okno było podparte, to
chodźcie i połóżcie rękę na ciałach! Cała wieś tego
chce!

CHŁOPI.

Chcemy! Chcemy! Chcemy!

(Nadbiegają inni.)

TŁUM.

Gdzie Skiba? Stary Skiba? Niech idzie! Rękę
położyć na ciałach!

CHŁOP 1.

Słyszycie Skiba?

ZOSIA.

Oj dziadziu, dziadziu, dziadziu...

CHŁOP 1.

Odsuń się, mała! Usłuchajcie nas, Skiba. Bo jak po dobrej woli nie pójdziecie, to weźmiemy was pod pachy i mocą zaprowadzimy. To tak nie może być! Podpalaczy we wsi mieć nie chcemy!

SKIBA.

Co?? Podpalaczy?? (Wstaje i przeciera oczy.)
Jakiś ty powiedział?

CHŁOP 1.

Kiedy jest podejrzenie, to pójdźcie z nami i koniec! Okno było podparte, wiecie? Okno było podparte! Wyście się z nimi kłócili o grunt!

TŁUM.

Tak, tak, tak, tak! Kłócili się, kłócili! Tak, tak, wszyscy wiedzą!

SKIBA.

Podpal... Jak on to nazwał? Podpalaczy...
Chryste!

(Wrzawa za sceną.)

CHŁOPI.

Co to? Co to?

CHŁOP 2. (wbiegając).

Znaleźli ciało Kubraka!

TŁUM.

Kogo? Kubraka? Kubraka?

CHŁOP 2.

Spalił się razem z Grzebieniami!

TŁUM.

Co? Skąd? Jak? To nie może być!

CHŁOP 1.

Skoro tak powiadają, to pójdźma się przekonać.
A wy Skiba poczekajcie tu na nas. (Odchodzi na
czele innych.)

SKIBA (śmiejąc się).

Co on, Zosieczko, gadał? Podpal... Cha, cha, cha!

GŁOSY Z PRAWEJ.

Wójt jedzie, wójt! Z drogi, z drogi!

GŁOS ZA SCENĄ.

Prr! Stój, nie podjeżdżaj!

WÓJT (wchodzi).

Bójcie się Boga, ludzie! To Grzebieniowie się
spalili?

TŁUM (otaczając go).

Grzebieniowie się spalili! Cała chałupa poszła!
Oni oboje z dzieckiem się spalili! Okno było podparte!
Kubrak się u nich spalił!

WÓJT.

Rety la Boga! Gdzież oni są?

TŁUM.

Tam! Tam! Podpalone było! Okno było podparte!
Podpalone!

WÓJT.

Chodźmy do ciał!

TŁUM.

Tędy, panie wójcie! Tędy, tędy! (Tłum wychodzi
za wójtem w lewo.)

ZOSIA.

Dziadziu, pójdźmy stąd, pójdźmy! (Ciągnie Skibę.)
(Wchodzą Mikołajowa, Mikołaj, Kuba i Filipina.)

MIKOŁAJOWA.

Ojciec, chodźcie z nami!

SKIBA.

Czego chcecie odemnie?

MIKOŁAJOWA.

Chodźcie i koniec! Nie wydziwiajcie, bo i tak ludzie dosyć gadają!

MIKOŁAJ.

Pójdźcie, ojciec, bo będzie źle!

FILIPINA.

Mój także mówi, żebyście stąd poszli.

MIKOŁAJ.

Jeszcze nam każą ręce kłaść na ciała.

SKIBA.

Nie, nie... tego nie chcę...

MIKOŁAJOWA.

To chodźcie! Zabierzemy was do swojej chałupy!

FILIPINA.

A Mikołaj już konie zaprowadził do siebie na podwórko!

MIKOŁAJ.

Cicho bądźcie i nie wygadujcie. Zaprowadziłem, to co stąd?

FILIPINA.

Póki stary testamentu nie zrobi, tobie nie tykać, wiesz?

MIKOŁAJOWA.

Wy się do tego nie mieszajcie, bo my dzieci, to nam pierwszeństwo!

MIKOŁAJ.

Chodźcie ojciec z nami!

SKIBA.

Nie pójdę! Tu będę stał!

MIKOŁAJ.

Czy chcecie, żeby cała wieś się zleciała i na nas patrzyła? I tak wszyscy dokoła szepcą, że podpalone i na nas palcami pokazują! (Otaczają Skibę i biorą go pod rękę.)

SKIBA (rzucając się o ziemię).

Nie pójdę, nie pójdę z wami! Gdzie mnie chcecie zaprowadzić?... Ja sam się zawlokę do mojej nory pod las... Idźcie mi z oczu! (Krzyki za sceną.) Czego oni tam krzyczą? Co? Co to się dzieje? Czy nowego trupa odgrzebali? Jeszcze jednego? Jeszcze jeden chodził do Kasi? A ilu ich tam chodziło?

ZOSIA (u nóg Skiby).

Dziadziu, dziadziu, dziadziu...

SKIBA (śmiejąc się).

A toć to zupełnie tak jak w Piśmie świętem... Sodomą i Gomorą a potem deszcz ognisty... Cha, cha, cha!... Cóż wy na to, moiściewy? Nieprawda?

(Wchodzi chłop 1 wraz z kilkoma parobkami.)

CHŁOP 1.

Przyszliśmy wam powiedzieć, Skiba, cośmy was niesłusznie mieli w podejrzeniu.

PAROBCY.

Niesłusznie! Co niesłusznie, to niesłusznie!

CHŁOP 1.

To też jak się pokazało, że niesłusznie, tośmy zaraz najpierw do was przyszli, bo byłyby wam krzywda.

SKIBA.

Krzywda? A no krzywda, krzywda...

CHŁOP 1.

Na ciele Jaśka są rany od noża. Kubrak go zabił, on zawsze z nożem chodził.

SKIBA.

Jaśka zabił?? (Ujmuje się oburącz za głowę jak gdyby nie mógł zrozumieć.)

CHŁOP 1.

Wójt ciała oglądał i pierwszy zobaczył rany. Przecie każdemu wiadomo, że Kubrak chodził do Kasi. To był wielki huncwot. Pewnie Jasiak okno podparł, żeby mu nie uciekli, zaszedł ich znienaćka, a oni go zabili.

MIKOŁAJ.

Ano widzicie, ojciec!

SKIBA.

Jaśka? Kubrak? Cha, cha, cha! Sodoma i Gomora!

MIKOŁAJOWA i FILIPINA.

O Boże, Boże, Boże!

KUBA.

Nieszczęśni my!

MIKOŁAJ.

Taki ich koniec!

CHŁOP 1.

Ciała będą leżały, aż sąd zjedzie!

SKIBA.

Na polu będą ciała leżały?

CHŁOP 1.

Tak wójt powiedział. Zawsze tak być musi, bo zabójstwo. Takie jest prawo.

SKIBA.

Prawo... Takie prawo... Aha!... Prawo jest wszędzie... Gdzie go niema?!... Na polu... A kto będzie ciało pilnował?

CHŁOP 1.

Ktoby tam pilnował! Nakryje się płótnem i będą leżały.

SKIBA.

I Kubrak przy nich?

CHŁOP 1.

Musi leżeć przy nich.

SKIBA (wstając).

Ja nie chcę, nie chcę! Chodźcie ze mną, ponieśmy trupy naszych gdzieindziej!

MIKOŁAJ.

Ojciec, niech ojciec nie wydziwiają... Kto to sły-
szał!

KUBA.

Uspokój się, kochany bracie!

SKIBA.

Puszczajcie mnie! (Chce biec, zatrzymują go.)

CHŁOP 1.

Takie prawo! Nie wydziwiajcie!

SKIBA.

Sodoma i Gomora! Puszczajcie! (Wrywa się i
wybiega. Zosia za nim.)

MIKOŁAJ.

Ojciec, ojciec!

KUBA.

Trzymajcie go!

FILIPINA.

Leć, tyś chłop!

MIKOŁAJOWA (do męża).

Stój... nie idź... POCO leźć ludziom na oczy! (Ro-
dzina staje i naradza się. Inni gromadzą się opodal
i patrzą na nich nieufnie.)

GŁOS SKIBY.

Kubraka stąd odsunąć! (Gwar za sceną.)

CHŁOP 1. (występując z gromadki).

A wy, familia, weźcie starego do siebie, nie daj-
cie mu tak wydziwiać, bo jeno zgorszenie i obraza
boska.

MIKOŁAJOWA.

Stary ma swoją wolę.

CHŁOP 1.

Kiedy tak gadacie, to ładna z was familia! Żeby was! (Spluwa i wychodzi razem z parobkami do zgliszcz.)

FILIPINA (do Kuby).

Jak to dobrze, żeśmy do tego ręki nie przyłożyli!

KUBA.

Mnie zimno i straszno...

FILIPINA.

Ja idę do chałupy. Niech się prędzej ta noc skończy. (Odchodzi.)

KUBA (do Filipiny).

Podaj no rękę... nie odchodź, chyba razem... Nie zostawiaj mnie samego. (Wychodzi za Filipiną.)

(Wbiega kilku parobków.)

PAROBEK.

Stary Skiba zemdłał!

GŁOSY.

O Jezu, Jezu! Skiba zemdłał!

(Wchodzi wójt na czele tłumu.)

WÓJT.

Odnieść Skibę do jego chałupy pod las! (Chłopi wnoszą Skibę na ramionach.) A toć tu stoi ktoś z jego rodziny, to Mikołajowie! Oddać starego pod opiekę Mikołajów!

GŁOSY W TŁUMIE (szepcem).

Poniesiemy Skibę, Mikołaju prowadźcie, biedny stary! Jezu, Jezu!

MIKOŁAJOWA (z udaną czułością).

Bóg wam zapłać, ludzie, że naszego kochanego ojca niesiecie! Pan Bóg wam to nagrodzi! Nieście go do naszej chałupy! Pójdź, Mikołaju, ułożymy staro- go! (Chłopi przechodzą ze Skibą przez scenę, z boku Zosia podiera dziadka głowę, przodem rusza Mikołajowa, na końcu zaś idzie Mikołaj, chmurny i z głową zwieszoną.)

WÓJT (do tłumu).

Niech kilku zostanie do rana przy zgliszczach, żeby, jak się wiatr o wschodzie ruszy, iskier gdzie nie poniosło. A wy wszyscy do chałup! Rozejść się, rozejść! Nie zalegać na drodze! (Tłum się rozprasza, kobiety wchodzą do chałup zamykając drzwi za sobą. Zjawia się arendarz.) No cóż, panie arendarzu? Co wy na to?

ARENДАРZ.

Odprowadziłem konie do stajni i przyszedłem po- patrzeć. Mówiłem panu wójtowi, żeby może do tego miasta nie jechać. Mówiłem! Stary Skiba coś knuł, knuł, no i stało się nieszczęście. On wódkę do domu brał, oni się wszyscy u niego zeszli, do rana radzili. Trzeba ich było pilnować. A teraz co? A grojses maleur!

WÓJT.

Kiedy to tak nie jest, jak arendarz powiada. Ze wszystkiego widać, że nie. Kubrak był kochankiem Grzebieniowej, Jasiek okno podparł, naszedł ich nie-

spodzianie i wynikła awantura. Sam widziałem na ciele Jaśka dwie głębokie rany zadane nożem.

ARENДАРZ.

To wszystko może być!

WÓJT.

Nie tylko może być, ale tak jest! Już ja mam swój spryt wójtowski, ze mną niech się arendarz nie próbuje. Jak chodzi o nalewki, no, to jeszcze pół biedy! Ale tu to trzeba brać na cienki koniec. Jasiek zamknął się z nimi w chałupie, pewnie chciał Kubraka bić albo i zabić, wtedy oboje rzucili się na niego, no i pozabijali się.

ARENДАРZ.

A jak się oni tak pozabijali, to kto chałupę podpalił?

WÓJT.

Hę?

ARENДАРZ.

Hę?

WÓJT.

To istotnie nie tak proste, jakby się zdawało!

ARENДАРZ.

Widzi pan wójt!

WÓJT.

A jak wam się zdaje, panie arendarzu?

ARENДАРZ.

Co się mnie ma zdawać? ! Mnie się nic nie zdaje.

WÓJT.

To jednak byłby wstyd, panie arendarzu, żebyśmy takiego zbójectwa nie wykryli! Co? niech no tam arendarz głową ruszy!

ARENДАРZ.

Abo to nalewka, panie wójcie?

WÓJT.

No, no, niech się arendarz nie wykręca. Tej sprawie o kontrabandę ukręciliśmy dzisiaj łeb szczęśliwie. Zbliżają się nowe wybory na wójta. Jakby się taką ładną sprawkę wykryło, byłaby sensacyjka, byłaby duża racya za starym wójciem gardłować. Arendarzowi nie było źle pod starym wójciem, żyło się jak u Pana Boga za piecem. Wójcio dobry, dobry wójcio!

ARENДАРZ.

Wie pan wójt co?

WÓJT.

Co, arendarzu?

ARENДАРZ.

Chodźmy spać. My tu nie nie wymyślimy.

WÓJT.

Niech arendarza...

ARENДАРZ.

Panie wójcie: spaliło się, jedno nieszczęście. Po tem wszystkiem jeszcze ludzi do kryminału wsadzać: drugie nieszczęście. Poco to!

WÓJT.

O mój arendarzu, mnie jako władzy nie wolno tak myśleć! Trudna rada, prawo poszukuje winowajcy a o nieszczęście nie pyta.

ARENДАРZ.

To niech pan wójt odrazu ćwierć wsi każe osadzić w areszcie.

WÓJT.

Dlaczego ćwierć wsi?

ARENДАРZ.

Bo tu nie jedna ręka podkładała ogień.

WÓJT.

Jakto: nie jedna ręka?

ARENДАРZ.

Czy pan wójt wie, co to jest familia?

WÓJT.

No, familia. Każdy wie, co to jest familia.

ARENДАРZ.

A Grzebieniowie z familią zadarli.

WÓJT.

To całą familię do odpowiedzialności pociągnę.
Prawo litości nie zna.

ARENДАРZ.

Całą familię? Niech będzie całą familię. Ale kogo pan wójt na świadka zostawi?

WÓJT.

Hę?

ARENДАРZ.

Hę?

WÓJT.

A to fatalne!

ARENДАРZ.

Też mówię, cobyśmy lepiej spać poszli.

WÓJT.

Ha, może się jutro na coś więcej wpadnie. Dobranoc.

ARENДАРZ.

Dzieńdobry, nie dobranoc. Za godzinę świtać zacznie. (Rozchodzą się. Po chwili arendarz wraca i woła cicho za wójtem.) Psst, panie wójcie!

WÓJT.

Co, arendarzu?

ARENДАРZ.

Schowajmy się za jaką chałupę, ktoś idzie, można by coś usłyszeć...

WÓJT.

Czy mnie oczy nie mylą? To wlecze się stary

Skiba!

(Skiba wchodzi ledwie się wlokąc, bardzo zmieniony, oddycha ciężko, spogląda na zgliszcza i załamuje ręce.)

SKIBA.

Pogorzelnisko... Trochę popiołu i nic... nic... nic...
Na stare lata nic... nic... nic... (Woła.) Kaśka!...
(Mówi.) Nie słyszy... (Woła.) Grzegorzyc! (Pada szlochając na ziemię.)

WÓJT (podchodzi do Skiby, łagodnie).

Skibo! (Skiba drgnął i podniósł głowę.)

SKIBA.

Kto mnie woła?

WÓJT.

To ja, wójt.

SKIBA.

Czy z wami już idzie prawo?

WÓJT.

Ze mną, Skibo, przychodzi miłosierdzie.

SKIBA.

Ono mi już na nic...

WÓJT.

Nie mówcie tak. Miłosierdzie każdą łzę osuszy. Niech no Skiba się podniesie, mój Skiba. Ja także ojciec, to Skibę rozumiem.

SKIBA.

Jeżeliście ojciec, panie wójt, to mnie nie rozumiecie.

WÓJT.

Tylko niech Skiba nie bluźni. Zawsze myśleć, że Pan Bóg słyszy. Niech no Skiba się podniesie, odprowadzimy Skibę do domu.

SKIBA.

Czy te ciała tam leżą jeszcze?

WÓJT.

Leżą. Gdyby jednak Skiba mnie usłuchał, to każałbym je odnieść do kostnicy.

SKIBA.

Ale Kubraka nie, prawda? (Wójt ogląda się na arendarza, ten gestem podsuwa mu odpowiedź.)

WÓJT.

Kubraka nie... nie...

SKIBA.

Kubrak na polu zostanie, tak? Żeby go psy potargały, tak?

WÓJT.

Tak, mój Skiba, tak... Bo to był niedobry człowiek! O, Bóg go pokarał i ludzie szanować nie będą.

SKIBA.

Panie wójcie...

WÓJT.

Co, mój Skiba?

SKIBA.

Wy czasem tak po ludzku mówicie, panie wójcie...

WÓJT.

Któżby z wami po ludzku nie mówił, kiedy na was takie nieszczęście spadło! Płakać nad wami! Myśmy się zawsze nad starym Skibą litowali!

SKIBA.

Zawsze? Naprawdę, zawsze?

WÓJT.

Aleć zawsze! Nie można było was na dzieci podburzać, ale krzywdę się dobrze widziało, jak na dłoni widziało!

SKIBA.

Panie wójcie... jak tak mówicie... to aż po sercu... aż po sercu... Człowiek, panie wójcie, jak zwierzę przez psy gnany... Ale jak w ten sposób przemawiacie, panie wójcie, to wam powiem... powiem...

WÓJT.

Co wam jest, Skiba?

SKIBA.

Ja... panie wócie... ja... pewnie umrę... Poślijcie po księdza... Każcie mnie do mojej chałupy... Nie do Mikołajów, jeno pod las... bliżej cmentarza, gdzie nieboszczka... i tam księdza... A jak ksiądz odemnie wyjdzie... to wtedy, panie wócie... wtedy wy... bo ja... powiem wam... ja...

WÓJT.

Arendarzu, chodźcie no tu prędzej! (Skiba drgnął, dźwignął się i mówi z dumą:)

SKIBA.

Kto tam... Arendarz? Niepotrzeba księdza... Nikogo niepotrzeba... Sam się też zawlokę do domu! (Rusza chwiejnym krokiem.)

WÓJT.

Skibo, czekajcie...

SKIBA.

Czego wy odemnie chcecie? Nawet nie dacie mi popłakać nad zgliszczami! Cha, cha, cha, cha! Prawo jak cień idzie za człowiekiem i staje nawet pomiędzy nim a jego nieszczęściem! (Wychodzi.)

Koniec aktu czwartego.

AKT V.

(Przed domem Skiby. W dali las. Wschód słońca. Słysząc bicie dzwonu na Anioł Pański. Zosia siedzi skulona na progu przed domem. Wchodzi Filipina owinięta chustką.)

FILIPINA.

Zośka, czy dziadkowi lepiej?

ZOSIA.

Dziadek śpią teraz.

FILIPINA.

Jak się tylko zaczęło rozwidniać, zaraz zabrałam się. W nocy to człowiekowi strach. A gdzie rodzice?

ZOSIA.

Wójt z arendarzem byli u nas i kazali nam tu wszystkim przyjść a dziadka nie odstępować. Ale dziadek chciał, żebym ja tylko została. Matka poszła do chałupy a ojciec obejmować nowe gospodarstwo.

FILIPINA.

Oj, mój ty wielki Boże, jak to jest na świecie! Oj, Zośka, Zośka, źle jest, źle!

ZOSIA.

Tak ładnie słońce wschodzi!

FILIPINA.

Słońce wschodzi ładnie i mogłoby być ładnie na świecie. Ale ci ludzie, ci ludzie, och!

ZOSIA.

Biją na Anioł Pański. Zimno...

FILIPINA.

Oj te sądy, te sądy! Widzi mi się, że to jednak nie było całkiem dobrze.

ZOSIA.

Biedny dziadek!

FILIPINA.

Juści, że niby biedny! Ale te sądy, to widzi mi się, że dobrze nie było. Powiadają, familia to rzecz święta. Ale aż tak, aż tak... Ojej, jej! Kiedy ksiądz był u dziadka?

ZOSIA.

Dopieruchno co odszedł. Przyprowadził go arendarz. Oj, babciu, jak ten ksiądz nad dziadkiem płakał, ażem się zbeczała! Bo to obaj mają po siedm-dziesiąt lat, ksiądz i dziadek.

FILIPINA.

A dziadek płakał?

ZOSIA.

Nie. Powiadał, że już wypłakał wszystkie łzy, że już mu ani jednej nie zostało. Jeno bardzo pobladł, głowa mu się trzęsie i ręce latają. Babciu, ja się bardzo boję o dziadka.

FILIPINA.

Czego się boisz? Czekaj, nakryję cię chustką, Jak jest zimno, to i strach jest większy. (Nakrywa ją.) Ty biedactwo tak tu siedzisz i marzniesz a o wschodzie to zawsze największe zimno.

ZOSIA.

Jak się dziadek spowiadali, to ja tu siedziałam i płakałam. Akurat na wschodzie zaczęło czerwienieć. Lekki wiaterek szedł od ementarza. Przymknęłam oczy i zdawało mi się, że się ktoś koło mnie przesunął.

FILIPINA.

Oj biedne ty moje maleństwo!

ZOSIA.

Mówię wam, babciu, to nieboszczka z pewnością szła po dziadka...

FILIPINA.

Ola Boga!

ZOSIA.

Słyszałam takie ciche westchnienie, przemknęła się jak wiaterek, drzwi skrzypaneły. Ksiądz spytał się: kto tam? i dalej spowiadał. Babciu, to nieboszczka wchodziła.

FILIPINA.

A może i nieboszczka. Niechby biedaka zabrała ze sobą! Oj, co nam wszystkim żyć! Myśleliśmy, że będzie inaczej, myśleliśmy, że te sądy porządek zrobią. A tu to samo. Nie będę ja ci, Zosieczko, na twoich rodziców wygadywała, ani na braciszka Walka. Ale widzisz, co przedtem robiła Kaśka i Jasiek, to te-

raz będzie robić Mikołaj i Mikołajowa. To tak, jej, jej, jej! Walek wykradł garnek z pieniędzmi! Ojej, jej!

ZOSIA.

Ach, babciu...

FILIPINA.

Mój zaraz powiedział, że źle będzie... zaraz powiedział... i ja mówiłam, jeno nikt nie chciał słuchać. Mój zamknął się teraz w domu i powiedział, że na świat boży nie wychyli głowy. Oj tak, Zosieczko, tak! Co to teraz będzie! Wójt i arendarz się kręcą, cała wieś gada niestworzone rzeczy. Mają zjechać i brać nas wszystkich do zeznawania. Ojej, jej!

ZOSIA.

Babciu, dlaczego?

ZOSIA.

A wedle tego podpalenia.

ZOSIA.

Przecież familia osądziła a jak familia sądzi, to już nie może być inaczej!

FILIPINA.

Tak może było dawniej, ale teraz tak nie jest!

FILIPINA.

Przecież dziadek sami przez księdza prosili, żeby wójt przyszedł.

FILIPINA (przestraszona).

Co? Dziadek wójta wzywał? Jezu Chryste!

ZOSIA.

Babciu, słuchajcie, babciu...

FILIPINA.

To nie może być! Co jemu z wójtem gadać! Trzeba to zaraz mojemu powiedzieć! Był u spowiedzi, teraz chce wójta. Żle, całkiem źle! Trzeba się naradzić! On z wójtem gadać nie powinien!

ZOSIA.

Dlaczego nie, babciu?

FILIPINA.

Ty tego, mała, nie rozumiesz. Ostańże tu, ja pójdę na wieś. (Odechodzi.)

ZOSIA.

Babciu, babciu, nie odchodźcie... Babciu... Mnie samej tak ciężko... A dziadek śpi... (Zaczyna cicho płakać.)

(Skiba ukazuje się na progu.)

Dziadziu, wyście się z łóżka zwlekli? Dziadziu, wam tu będzie zimno!

SKIBA.

Pomóż mi sięść... tu chcę sięść... na ławie... tak... Cicho... Okryj mi nogi, bo mi w nie bardzo zimno. (Zosia okrywa mu nogi chustką.) I siądź tu gdzie przy mnie. Tam w chałupie duszno... Chce się oku raz jeszcze popatrzeć na słońce... A tak jasno tam wschodzi... Zosiu, co to słychać?

ZOSIA.

Gdzie, dziadziu?

SKIBA.

Tam od wsi...

ZOSIA.

To dzwonią na Anioł Pański... Słysząc także ryk
bydła...

SKIBA.

A zmówiłaś już pacierz?

ZOSIA.

Zmówiłam już, dziadku.

SKIBA.

Tak jasno słońce wschodzi... tak sobie wschodzi
pięknie... Ani jednej chmurki... i cicho... Zosiu?

ZOSIA.

Co, dziadeczku?

SKIBA.

Co to słysząc od cmentarza?

ZOSIA.

Teraz nie nie słysząc.

SKIBA.

A przedtem, jakem się spowiadał, było słysząc?

ZOSIA.

(Płacze i obejmuje go za nogi.)

SKIBA.

Zosieczko... jak będzie taki ładny dzień jak dziś,
to zajdziesz ty czasem na cmentarz?

ZOSIA.

Dziaduniu, dziaduniu...

SKIBA.

Jak będzie brzydko, to nie zachodź, wnuciu, ale
jak będzie ładnie, to przyjdź czasem... Zosieczko!

ZOSIA.

Co, dziadziu?

SKIBA.

Ty jeszcze jesteś mała, bardzo mała... to jeszcze ciebie nikt skrzywdzić nie mógł... Powiedz mi zatem, wnuciu, kochałaś ty dziadka?

ZOSIA.

Oj, dziadeczku, jak to wy tak mówić możecie!
Toż wy najlepiej wiecie, jak was miłuję!

SKIBA.

To jak będzie tak ładnie, jak niby dziś, przyjdiesz tam czasem?... Przyjdź... przyjdź... widzisz, tam i babka nieboszczka jest... Zosiu!

ZOSIA.

Słucham was, dziadku.

SKIBA.

Czy od wsi już kto idzie?

ZOSIA (patrzy).

Nie, dziadku, jeszcze nikogo nie widać.

SKIBA.

Żeby tylko w porę przyszedł...

ZOSIA.

Kto ma przyjść, dziadku, czy pan wójt?

SKIBA.

Takie dziś zimne słońce, nie a nie nie grzeje.

ZOSIA.

Nie, dziadku, grzeje, już się wzbiło nad pole i zaczyna grzać.

SKIBA.

A mnie się wydaje, że świeci, lecz nie grzeje.

ZOSIA.

To się wam tylko, dziadziu, tak wydaje.

SKIBA.

Teraz pewnie chmura napływa na słońce, może będzie deszcz.

ZOSIA.

Chmura, dziadziu? Czyściutkie niebo, ani jednej chmury nie widać.

SKIBA.

A tak mi nagle słońce pociemniało... Czy teraz od wsi nie idzie kto?

ZOSIA.

Tak... teraz to zdaje się... idzie... Idą matula, ojciec... Także idzie dziadek Kuba i babka Filipina, jeno trochę za nimi...

SKIBA.

I nikt więcej nie idzie?

ZOSIA.

Nie widać, dziadku.

SKIBA.

Matka i ojciec idą? To na pewno oni?

ZOSIA.

Na pewno, dziadziu.

SKIBA (usiłując wstać).

Pomóż mi, wnuciu...

ZOSIA.

Dziadziu, co wy chcecie zrobić?

SKIBA.

Pomóż mi wejść do chałupy... Powiedz, że będę spał... Spać chcę, słyszysz?

ZOSIA.

Dziadziu, ja was nie udźwignę! Dziadziu, zaczekajcie, matula i ojciec wam pomogą...

SKIBA.

Nie chcę... nie chcę... Ty mi pomóż, jeżeli ci siły nie braknie... No, bierz mnie pod pachy... Co?... Czekaaj, słabo mi... Nie, nie, nie...

(Wbiegają Mikołaj, Mikołajowa, Filipina i Kuba.)

MIKOŁAJOWA.

Wy ojciec chcecie wójta?

MIKOŁAJ.

Naco ojciec chce z wójtem gadać?

MIKOŁAJOWA.

Niech ojciec pamiętają, że my mamy dzieci, że my musimy pracować na siebie i na dzieci, niech ojciec nas nie gubi, ojciec nigdy o nas nie pamiętał!

MIKOŁAJ.

My teraz żadnego testamentu nie chcemy, nie! Co nam po testamencie, prawo jest, testament na nie! A jak niepotrzebny testament, to i z wójtem gadać nie potrzeba!

FILIPINA.

I mnie się widzi, że wam nie potrzeba z wójtem

gadać. Jeszcze się z czem niepotrzebnem wygadacie i będzie kłopot.

MIKOŁAJOWA.

I tak będzie kłopot z tą rolą. Dom spalony, wszystko spalone! Co my teraz na takim pustkowiu poczniemy!

MIKOŁAJ.

Popiół i nic!

KUBA.

Co ty wygadujesz, Mikołajku!

MIKOŁAJOWA.

A tak! Wam to by się chciało, żeby stary wam połowę albo wszystko zapisał! Chciałoby się wam nad drugą połową opieki! Chciałoby się wam, żebyśmy z torbami poszli! Chciałoby się wam...

SKIBA (znowu usiłuje wstać).

Zosieczko, pomóż mi...

KUBA (do Mikołajowej).

Cicho bądź, ty kobieto! Nie waszego nie chcę, bierzcie sobie wszystko! Jużście zabrali, coście mogli, konie, grunt, pieniądze... Mnie tęskno także na cmentarz!

MIKOŁAJOWA.

A my musimy żyć i o dzieciach myśleć!

MIKOŁAJ.

Z wójtęm niema co gadać! Co się stało, to się stało! Familia osądziła!

FILIPINA.

Wy stary chcecie nas zgubić!

MIKOŁAJ.

Krew naszą będziecie mieli na sumieniu!

FILIPINA.

Nie zdradzaj swoich, stary!

MIKOŁAJ.

Oni z rodziną zadarli! Rodzina osądziła!

MIKOŁAJOWA.

A toć wójt już wali od wsi! Rety, rety!

FILIPINA i MIKOŁAJOWIE.

Nie zdradzajcie swoich! Rodzina święta rzecz!
Nie gubcie nas!

KUBA.

Cichoście!... Jacy wy głupi!... Właśnie niech
stary z wójtem gada!

MIKOŁAJ.

Co będzie gadał?

KUBA.

Jemu bliżej jak dalej, to niech wyzna. Nie będzie
podejrzenia.

FILIPINA.

Mój dobrze mówi.

MIKOŁAJOWA.

Niech będzie. Bo na rodzinę nie może być podej-
rzenia!

MIKOŁAJ.

Pamiętajcie, ojciec!

MIKOŁAJOWA.

Pamiętajcie, ojciec!

WSZYSCY.

Pamiętajcie, pamiętajcie!

KUBA.

Cicho!... Wójt już blisko... Żeby nie zmiarkował!
(Milkną i grupują się dokoła Skiby. Zosia u nóg
dziadka. Skiba patrzy w dal, bardzo blade i sku-
piony. Wójt wchodzi.)

WÓJT.

Niech będzie pochwalony.

WSZYSCY (szepem).

Amen.

WÓJT (do Skiby).

Przychodzę do was, stary przyjacielu, bo mi
ksiądz dobrodziej powiedział, że pragniecie się zemną
raz jeszcze widzieć.

SKIBA.

Tak... bardzo pragnę... Siadajcie, panie wójcie...
Jest tam gdzie stołek? Zośka, podaj no... Pan wójt
siądzie.

WÓJT.

Nie potrzeba, malutka. Ja tu sobie obok na ławie
siadę. Spowiadaliście się, Skibo? Pogodziliście się
z Panem Bogiem?

SKIBA.

Czy tu jeszcze moja familia jest?

WÓJT.

Jest, stoją wszyscy. Czy ich nie widzicie?

SKIBA.

Ciemno mi trochę w oczach... To tak na starość...
Czy i Zosia jest?

WÓJT.

Toć tu przy waszych nogach siedzi biedactwo.
Zosiu, odezwij się do dziadka.

SKIBA.

Niech no Zosia odejdzie do chałupy i niech nie
przychodzi, aż powiem.

ZOSIA.

Dziadku, ja was nie opuszczę!

SKIBA.

Idź... idź...

WÓJT.

Idź, Zosiu, kiedy dziadek każe. (Bierze Zosię za
rękę i wprowadza do chaty, szepeząc coś w ucho.)

MIKOŁAJOWA (do Skiby szeptem).

Nie gubcie swoich, pamiętajcie!

MIKOŁAJ.

My wasza krew! Żebyście nie zdradzili!

SKIBA.

Panie wójcie, czy macie papier i pióro?

WÓJT (wracając).

Naco papier i pióro, Skibo? O co wam chodzi?

SKIBA.

Panie wójcie, nie macie?

WÓJT.

Nie mam, Skibo.

SKIBA.

No, to jest tu familia.

WSZYSCY.

A jesteśmy, jesteśmy! Każde słowo słyszymy!

SKIBA.

Panie wójcie... Słuchajcie uważnie... Bo jak wam wiadomo, Jaśka zabili.

MIKOŁAJOWA.

A Kubrak zabił, Kubrak!

SKIBA.

To się też mówi dlatego, żeby nie było żadnego podejrzenia na nikogo.

KUBA.

Najgorzej, jak jest niesłuszne podejrzenie.

MIKOŁAJ.

To krzywda, krzywda!

SKIBA.

Więc słuchajcie mnie, panie wójcie, uważnie.

WÓJT.

Słucham was, Skibo, co chcecie mówić?

SKIBA.

Familia rzecz przez Boga ustanowiona... Grzebie-

niowie rodzinę skrzywdzili... więc ja... jako to ojciec... ukarałem ich...

WÓJT.

Jezu Maryja, Skibo! Wyście może ich podpalili?

SKIBA.

Podpaliłem...

WSZYSCY.

Podpalili! — Sam zeznał! — Jezu, Jezu! — Zeznał! — Słyszeliśmy wszyscy!

WÓJT.

Uciszcze się! Pozwólcie mówić umierającemu człowiekowi!... Mój Skiba, mnie już to podszeptowano, że to tak miało być. Ale choć sami wyznajecie, jeszcze w to uwierzyć nie mogę.

SKIBA.

To nie... Ja... ojciec... podpaliłem... własnymi rękami... Widzicie, taki to ja krzywdziciel własnych dzieci. Ano... taki... taki... Był tu ksiądz dobrodziej, spowiadał mnie. Ha, wyznało się wszystko i teraz się powiada, ale tylko dlatego, żeby już na nikogo nie było podejrzenia... na nikogo... Bo to złe ludzkie języki zawsze lubią szarpać cudzą sławę. Żeby więc na rodzinę nie było podejrzenia!

MIKOŁAJOWA.

Na rodzinę nie może być żadnego podejrzenia!

MIKOŁAJ.

Ho, ho, ludzie lubią gadać! Na mnie pierwszego by gadali! A tu na szczęście ojciec sam zeznał!

WÓJT.

Skibo, Skibo, jakże ja w to uwierzę! I to wy, wy, taki poczciwy, taki zaćny gospodarz, taki stary gospodarz, ojciec i dziadek, szanowny staruszek! Bóćcie się Boga, co się wam stało! Czyście o Bogu zapomnieli, któremu przez całe życie służyliście poczciwie?

SKIBA.

Nie mówcie nie, panie wóćcie... ani nie sądziecie... To, co się powiedziało, to dlatego, aby na nikogo nie było podejrzenia... Księdzu się powiedziało, bo tak kościół każe i wam się mówi, bo to jest w świecie jakieś prawo... Ale co do Pana Boga, to dajcie pokój... Kto z familią zadrze, temu śmierć!... Tak, panie wóćcie... Już tam stary Skiba będzie niezadługo o tem sam z Panem Bogiem gadał i od niego usłyszy, czy on krzywdzieli, czy nie krzywdzieli... Zapamiętajcie sobie moje słowa, żebyście je potem w urzędzie tak samo spisali... Czy moja familia tu jest? Czy moja familia słyszała?

KUBA.

Wszyscyśmy tu, kochany bracie i ze łzami wysłuchaliśmy twego zeznania. A jak potrzeba, to w urzędzie zaświadczymy.

MIKOŁAJOWA.

Wszyscy świadczyć będziemy, wszyscy!

MIKOŁAJ.

Zaświadczymy, jako ojciec zeznał, że podpalił Grzebieniów.

MIKOŁAJOWA.

Przytomny na umyśle. Ojej, jej!

FILIPINA.

O mój zacny Skibo, jakże mi was żal!

WSZYSCY.

Poczeiwy ojeiec! — Poczeiwy brat! — Poczeiwy, poczeiwy! Boże, Boże! — Wszysey świadczyć będziemy!

SKIBA.

Panie wójcie...

WÓJT.

Co jeszcze powiecie, ojeze...

SKIBA.

Niech wszysey odejdą... do domów swoich... Dziękuję wam, panie wójcie, żeście po takiej nocy i niewyspaniu tu przyszli... A teraz: do widzenia!... Do widzenia! Może się przecież... tam... zobaczymy!... Niech wszysey odejdą... Zawołajcie tu Zosię.

WÓJT (wstając).

Rozejdźcie się, ja pójdę do urzędu i tam na was czekać będę. (Woła) Zosieczko, dziadek cię woła!

WSZYSCY (idąc za wójtem).

Dobry stary! Poczeiwy stary! Sam zeznał! Nie będzie podejrzenia! Prawda, panie wójcie? Zaraz mamy podpisywać, co, zaraz? (Wychodzą za wójtem. Wbiega Zosia i pada Skibie do nóg.)

ZOSIA.

Dziadeczku, jestem tu przy was! Już was nie odstąpię!

SKIBA.

Kto tu przy mnie?

ZOSIA.

To ja, dziadku, wasza wnuczka Zosia.

SKIBA.

Nie poznałem cię... Tak ciemno na świecie... Zdaje się jakby słońce zaszło i noc nastąpiła... Coraz czarniejsza noc... zimna noc...

ZOSIA.

Cieplutko, dziadku... I słońko nad polami grzeje... Od ementarza wietrzyk idzie... Popatrzcie jeno, dziadku!

SKIBA.

Słuchać co od ementarza?

ZOSIA.

Leciuchny wietrzyk idzie...

SKIBA.

Złóż mi ręce, wnuciu...

ZOSIA (składając mu ręce).

Módlcie się, dziadku, ja się też pomodłę.

SKIBA (po chwili).

Ładnie jest na świecie?

ZOSIA.

Och, dziadziu, tak ślicznie, tak jasno! Dzwon już ucichł i gdzieś niedaleko skowronek wzbija się ze śpiewem w niebo.

SKIBA.

To będziesz czasem w taki ładny dzień tam zachodziła?

ZOSIA (obejmując go za nogi).

Dziadeczku... Dziadziu... Co wam jest?... Wy taey zimni... Dziadziuchnu...

SKIBA.

Familia święta rzecz... Ale — tyś mnie jedna kochała! (Umiera.)

Koniec aktu piątego i ostatniego.



K
1022

1022